



ZESZYT ÓSMY I DZIEWIĄTY.

ROČNIK SZÓSTY.

## SZCZĘŚCIE KOBIECE.

POWIEŚĆ

JANA ZACHARIASIEWICZA.

(CIĄG DALSZY)

**P**rzygarbiony staruszek siedział w oliwkowym surducie przy stoliku, i patrzył przez lupę na miniaturę malowaną na kości słoniowej.

Adelaida stała jakiś czas za plecyma ojca, i smutna patrzyła na jego twarz pomarszczoną, na której malowała się żądza wynalezienia Rafaela lub Rubensa.

Dotknęła go lekko ręką.

— Nie mogę dobrze złożyć tego monogramu — rzekł do niej ojciec — chociaż widocznie malowany jest na tym krzaku...

— To liść paproci! — odpowiedziała Adelaida z westchnieniem.

— Paproć... paproć, to szczęście mówią ludzie.

— Jeśli dla nas to szczęście nie świta -- mówiła z powagą Adelaida — to trzeba przynajmniej zająć się szczęściem cudzem.

Rzekłszy to usiadła Adelaida na krześle i położyła przed sobą na stoliku list z pieniędzmi.

Pan Albert ujrzał pięć pieczęci i ciekawie spojrzał na córkę.

— Przedewszystkiem chciałabym — rzekła Adelaida — ażeby ojciec z uwagą mnie wysłuchał. Chodzi tu o rzecz nie małej wagi.

— Słucham cię, moje dziecko — odparł pan Albert, i miniaturę wraz z lupą położył na stole.

Adelaida milczała chwilę.

— Czy nie zastanowiłeś się kiedy, ojcze, nad Olgą? — zapytała po jakimś czasie z twarzą zarumienioną.

— Nad Olgą? — powtórzył staruszek z widoczną niechęcią, bo był pewny, że mowa będzie o jakich starych obrazach.

— Tak jest, nad Olgą. Zdaje mi się, że to jest naszym obowiązkiem, myśleć o niej.

Pan Albert poskrobał się w głowę.

— Nie wiem, do czego zmierzasz.

— Olga jest córką Burskiego. Gdyby jej nieboszczka matka nie była wzięła z domu ojca, gdyby była ją Burskiemu zostawiła, byłaby dzisiaj może żoną leśniczego lub gorzelnika, byłaby szczęśliwą i zadowoloną ze swego losu.

— Prawda, prawda; cóż ztąd wypływa?

— Ztąd wypływa, żeśmy ją z zakresu jej szczęścia wydarli, żeśmy jej dali wychowanie nad jej stan, zrobiliśmy z niej damę wielkiego świata, która się słusznie swego pochodzenia i ojca wstydi.

— Nigdy tego u niej nie widziałem.

— Trudno, aby to wszystkim okazywała, lecz kto chce widzieć, ten obaczy. Czyż Burski nie ucieka zawsze, gdy Olga w towarzystwie naszym się bawi, a ktoś z gości nas nawiedzi? Czyż wtedy i Olga nie kieruje w taki sposób



rozmową, aby oczy gościa od swego ojca odwrócić? Jestto bardzo naturalnie; ona przy ojcu, a ojciec przy niej, jest sprzecznością.

Pan Albert milczał. Patrzył w tej chwili ukradkiem na córkę, i oliwkowy swój surdut porównywał w duchu z okazałym rannym strojem Adelaidy.

— Ojciec jest zawsze ojcem — rzekł pocichu.

— O to nikt spierać się nie będzie — mówiła dalej Adelaida — ale w stosunkach towarzyskich, w życiu z ludźmi, ma ojciec dla córki takie same obowiązki, jak córka dla ojca.

Zmarszczki na twarzy pana Alberta zagłębiły się jeszcze więcej. Czuł wyrzuty sumienia, że te słowa córki i do niego się stosują. I on dogadzając chwilowej fantazyi, której ostatecznym celem był tylko on i żona jego, ale nie córka, tułał się po zagranicy, bo tam nie przeciono mu przywłaszczonego tytułu, ale nie myślał o dziecku swoim, któremu przez marnotrawstwo świat zawiązała. Gdyby Adelaida miała dzisiaj ten posąg, który on wziął za żoną swoją!

Westchnął biedny staruszek i cichym głosem odpowiedział: — Ojciec dla swego dziecka zawsze ma najlepsze chęci. Któż może odgadnąć, kiedy te chęci nie są szczęśliwe?

— Szczęśliwy, kto może swemi chęciami kierować, choć w takim razie trafia go tem większa odpowiedzialność.

— Odpowiedzialność, mówisz? jestto wyraz srogi!

— Właśnie w tem zależy cała kara tej odpowiedzialności, że ten wyraz jest srogi i boli.

Pan Albert ciężko westchnął.

— Inaczej przedstawia się rzecz — mówiła dalej Adelaida — gdzie tej odpowiedzialności nie ma.

— Gdzie tej odpowiedzialności nie ma! — powtórzył bez myśli pan Albert i zadumał się.

— Burski przecież nie jest odpowiedzialnym za to, że się nie urodził z tytułem i nie odziedziczył milionów! — mówiła dalej Adelaida z cierpkością.

— Któż tego żądał kiedy od niego? — nieśmiało zapytał pan Albert, bawiąc się połą oliwkowego surduta.

— Tego od niego nikt nie żądał — z ironią mówiła Adelaida — bo nie wszyscy mają obowiązek przodowania drugim.

— Prawda, prawda — cicho szeptał pan Albert.

— Nie wszyscy odziedziczają tytuły i majątki, aby niejako stać na świeczniku społeczeństwa.

— Słusznie, słusznie!

— Takiego przywileju nie wyrzeka się przecież nikt dobrowolnie.

— Tak, tak!

— Wyjawszy, jeżeli przez własną winę upadnie z wyższego szczebla, pozbywszy się gruntu pod nogami...

— Adelaido! Nie wiem, do czego to wszystko zmierza..

— Wtedy bowiem dopiero ludzie z niższej warstwy za-jęliby słusznie nasze stanowisko...

— Cóż to ma do rzeczy, o której chciałaś mówić?

— To miało dowiedzieć, że Burski właściwie nic nie zawiinił względem swojej córki, że obecnie na niższym szczeblu od niej stoi, ale my zwinili, że ją zbyt wysoko podnieśliśmy, nie bacząc na to, gdzie ojciec stoi.

— Alboż to poraz pierwszy się wydarza, że dzieci wyżej od rodziców stoją? Czyliż codziennie nie ma przykładów?

— Trzeba tu coś rozróżnić. Dzieci wychodzą wyżej od rodziców, bo taki jest ruch społeczeństwa. Dobijają się lepszego od rodziców stanowiska i lepszego chleba. Inaczej ma się rzecz z kobietą. Córka, nie odbiega prawie nigdy sfery swoich rodziców. Jeżeli się to kiedy stanie, to należy do wyjątków. Córka odbiegająca wychowaniem i nauką rodziców, może tylko to robić dla lepszego kawałka chleba, ale szczęścia właściwego na tej drodze nie znajdzie. Może w najlepszym razie zostać nauczycielką, a ten chleb twardy nie zastąpi jej nigdy szczęścia, własnej rodziny.

— Przecież Olga...

— Olga wychowaną jest na damę wielkiego świata. Myśmy rzucili ją w ten świat, do którego ona nie należy. Ona widzi dzisiaj anormalne swoje położenie, boleje nad tem, ale odmienić go nie może.

— Cóż my jej możemy poradzić w tej mierze?

— My jej radzić nic nie możemy, ale powinniśmy się mieć na baczności, aby za tę krzywdę jej wyrządzoną nie spadła na nas kara zasłużona.

— Kara zasłużona? Co za kara?

— Myśmy ją wyrwali z jej sfery, ona może przetokogoś nam wziąć z rodziny.

Pan Albert rzucił się na krzesło.

— Cóż tam znowu mówisz? — zapytał z niezwykłą energią.

— Czyż ojciec tego nie widzisz?

— Co mam widzieć? Nic nie widzę!

— Przecież Edmund...

— Edmund? — powtórzył pan Albert i wstał z krzesła.

Przeszedł się kilka razy po pokoju. Adelaida patrzyła za nim z uwagą. Twarz miała znużoną, oczy przygasłe. Widać, że ta scena zmęczyła ją niemało.

Pan Albert chodził niejakiś czas po pokoju. Potem zatrzymał się, potarł ręką po czole i rzekł:

— Teraz mi coś świta w głowie. Szymek opowiadał mi...

— Ojciec wzięłeś to za zwiady muru i pałacu, z której strony miał Edmund szturm przypuścić z chłopami do naszego próżnego skarbcu.

— Wiesz, że nieraz nawet śniło mi się o tem.

— A to było tylko krążenie wkoło ukochanej...

— Głupstwo, nie ma o czem mówić!

— Dla czego ojciec nazywa to głupstwem? Czyż Olga zasłużyła sobie na to, aby to głupstwem nazwać?



— Dla tego nazwałem to głupstwem, bo wiem z doświadczenia, że takie amory kończą się płaczem jednodniowym z jednej strony, a dobrym sygarem z drugiej.

Adelaida potrząsała głową. Pan Albert rozgrzany mówił dalej:

— Alboż to pierwszy i ostatni romans podobny z biedną panią? Alboż to Edmund nie wie, kim jest, i jakie względem familii swojej ma obowiązki?.. Nie, nigdy temu nie uwierzę, aby miał się tak daleko zapomnieć...

— Zastanawiałam się bliżej nad tem. I ja tak myślałam jak ojciec, ale byłam zmuszoną te myśli porzucić. Edmund jest dzisiaj w stanie wszystko zrobić, bo nie jest dzisiaj panem swojej woli i zimnego zastanowienia. Ojciec wiesz, jaką rolę wziął teraz na siebie, i jacy ludzie go otaczają. Ci ludzie mogą go pochnąć we własnym interesie swoim...

— Nie mów dalej! Byłoby to wielkiem nieszczęściem! On jest prawie biedny...

— Milczeniem nie odwrócimy nieszczęścia.

— Trzeba się z nim rozmówić.

— Mówiłam już z nim zdaleka... Nie da sobie ani słowa powiedzieć. Mówił, że wszystkie herby i klejnoty rodzinne odda za kilka chwil szczęścia!.. Chciał iść do ojca i prawdopodobnie wyznać swoje zamiary... Szczęściem, że coś mu przeszkodziło, że wyjechał...

— A jak wróci?.. Mój Boże, otóż gotowe nieszczęście! A śniło mi się tej nocy, że ten diabeł czerwony, który mówiąc nawiasem niezawodnie jest Michała Anioła, chociaż monogramu dotąd nie znalazłem... że ten diabeł czerwony...

— Tutaj trzeba coś radzić.

— Radzić, cóż chcesz radzić? Jakaż rada?

— Radę tę ułatwił nam stryj August — wyrzekła zwolna Adelaida, kładąc rękę na liście z pieniędzmi.

— August... kochany August! Zkądże on się dowiedział?

— Uważałam za stosowne, coś mu o tem nadmienić.

— Zaczyna córko! Ty więcej czuwasz odemnie...

— Otóż stryj August przysłał w tym celu kilka tysięcy rubli...

— Kilka tysięcy rubli?... Cóż chcesz rublami robić?

— Chcę po części wrócić Oldze to szczęście, któreśmy jej nielitościwie zabrali, wychowując ją na wielką stopę.

— Czyż to się da rublami załatwić?

— Burskiemu trzeba dać sposób polepszenia swojej pozycji i zbliżenia się przeto więcej do córki.

— Jakże chcesz to zrobić?

W tej chwili ozwały się przez otworzone drzwi z pokoju Adelaidy melancholijne akordy cytry, a do nich zwolna mieszał się cichy, sympatyczny śpiew Olgi.

Adelaida poczuła gorąco na twarzy. Wstała, zamknęła starannie drzwi od galeryi, a przysunawszy krzesło swoje do krzesła ojca, zaczęła z nim cicho rozmawiać.

Rozmawiała długo, tak prawie długo, jak trwała piosenka Olgi.

## ROZDZIAŁ XI.

Stary Burski był właśnie w jednym z owych paroxyzmów, w którym już mieliśmy sposobność go widzieć.

Skazany na samotność, bo córki nie mógł przez cały dzień mieć przy sobie, rozrywał się nieustanną pracą, chodząc po polach i lasach. Najgorzej dawała mu się czuć niedziela. W niedzielę, dawnym obyczajem, spoczywała wszelka robota, a nawet wszystkie sprawy gospodarskie. Nie wolno było nawet porachunku robić, ani nawet ze służbą nad czemś się naradzać. Taki zwyczaj święcenia dnia bożego zaprowadzono od dawnych czasów.

Gdy więc nadeszła niedziela lub święto jakie, stary Burski był bliskim rozpaczy. Wszystkie jego uzasadnione i wymarzone zgryzoty stawały wtedy przed nim i żądały od niego, aby się z nimi rachował.

Stary ekonom odpędzał te zgryzoty jak mógł od siebie. Odpędzał je pacierzem, krzyżem świętym, skrytym płaczem albo kieliszkiem wódki. Czasem skutkowały te specyfika, ale często nie pomogły, a wtedy był Burski bliskim rozpaczy, i nieraz nawet zamyslał obwiesić się na wystającym ze ściany haku, na którym niegdyś za życia nieboszczki żony wisiał zegarek z kukułką.

Najczęściej w tej ostatecznej chwili, jakby anioł zesłany z nieba na ratunek, zjawiała się Olga, a stary Burski czując jej uścik gorący, zapominał o haku i płakał z radości, że mu Bóg dał taką córkę. Gdy jednak bliżej nad tą córką pomyślał, gdy dłuższy czas w nią się wpatrywał, uczuł biedny, że właśnie ta biedna córka jest powodem, że o haku myślał.

On ją pastradał, gdy była dzieckiem, a gdy znowu do niego przyszła, już nie mógł być dla niej ojcem w całym znaczeniu tego słowa. Zdawało mu się, że ona mu łaskę wyświadcza, nazywając go jeszcze czasem ojcem swoim, i starał się ze swojej strony, aby ta ofiara własnego dziecka jak najrzadziej się powtarzała. On czuł sam, że to dziecko jego zanadto go odbiegło, że już za niem nie zdąży, choćby gorzał z pragnienia.

W takim razie widział czarną przyszłość Olgi, widział ją na łaskawym chlebie, który w gruncie nie jest smaczny, widział na łasce drugich, bo zacy a pracowity człowiek nie odważy się podać ręki takiej pani na całą drogę żywota.

Ten rak pożerał ustawicznie wnętrzości jego, i wcale się dziwić nie trzeba, jeżeli nieraz w szaleństwie wzywał złych duchów, aby mu odkryły skarby zakopane, za co im obiecywał własną duszę w wieczyste posiadanie.

Ponieważ pragnienia takie zakopanych skarków przychodziły mu najczęściej w niedzielę podczas nieszpórów, to też żaden ze złych duchów nie mógł przyjść o tej porze, w której po domach bożych modlono się i śpiewano.

Przyszedł jednak ktoś do niego i silnie we drzwi zapukał.



Burski zerwał się z ławki, bo jakkolwiek życzył sobie rozmówić się z złym duchem, jednak zmieszał się niemało, gdy usłyszał gwałtowne pukanie.

Był to stary Anatol, w wytartej liberyi. W zażyłości z Burskim uderzył go silnie po ramieniu, chciał nawet to samo w kark powtórzyć, gdy tenże mu się wymknął i kilka kroków przed nim obronną zajął pozycją.

— Prędko na górę! — zawołał Anatol podnosząc wytarty rękaw do powały.

— Cóż tam znowu? — odfuknął Burski — dziś niedziela! Przecież ten dzień ma człek dla siebie.

Anatol był już na schodach pałacu. Mrucząc zdążył Burski za nim powoli, odkrzakując i prostując swój ubiór.

Na pierwszym piętrze czekał na niego uroczyscie pan Albert. Nawet oliwkowy surdut miał teraz połysk uroczysty, zapożyczony od zachodzącego słońca, które przez zapyłone szyby rzucało złote swoje promienie.

Gdy Burski swego pryncypała w tak uroczystym nastroju ujrzał, zapomniał o swoich umartwieniach, a wyprostowawszy się stanął nieruchomie przy progu.

Pan Albert miał minę wielkiego dyplomaty. Patrzył czas niejaki na Burskiego, który spociał się pod tym wzrokiem, bo przypomniał sobie, że wczoraj pozwolił biednej wdowie ze wsi wziąć sobie powaloną sosenkę z lasu.

Otóż tę sosnę widział teraz w oczach pana Alberta.

— Jak długo służysz tutaj? — zapytał z powagą pan Albert, nie spuszczać z niego oczu.

— Dwadzieścia sześć lat i trzy miesiące! — odpowiedział Burski, czując mrowie po całym ciele.

— To spory kawał życia! Służyłeś wiernie...

— Wiernie, jak Bóg widzi... wyjąwszy tę wczorajszą sosenkę, którą wiatr powalił...

Burski był teraz usposobiony do złożenia generalnej spowiedzi, zaczynając od końca. Ponieważ spowiedź taka pokrzyżowałaby plany pana Alberta, wypuścił więc historją wczorajszej sosny lewem uchem i przerwał staremu słudze.

— Gdy się mysz do kościoła dostanie, to musi czasem liźnąć łoję z lampy... mniejsza o to; ale powiedz mi, czy pomyślałeś kiedy o twojej starości?

Burskiemu stanęły łzy w oczach.

— Czyż ja już nie stary? — zapytał miłosiernie.

— Tak, starym jesteś, ale możesz być jeszcze starszym, a wtedy zdałby się jaki ciepły kącik.

Burski machnął ręką i spuścił głowę na piersi.

— Na cmentarzu! — wyszepnął zcicha.

Pan Albert przestraszył się tego słowa. Postąpił krok wtył i oparł się o biurko.

— Na cmentarz wszyscy pójdziemy — rzekł ponuro — ale kiedy jeszcze w piersi serce się kołace, to powinniśmy jeźli nie o sobie, to o dzieciach myśleć. Masz córkę, jakimże jesteś ojcem, jeźli o jej przyszłości nie myślisz?

Burski spojrział na pana Alberta, jakby go nic nie

rozumiał. Zdawało się prostaczkowi, że ojciec Adelaidy w taki sposób mówić nie może, że on coś innego chciał powiedzieć, tylko niejasno się wyraził.

— Czy mnie nie rozumiesz? — rzekł po chwili pan Albert. — Powiedziałem do ciebie, że każdy ojciec ma obowiązek myśleć o przyszłości swoich dzieci. Przecież trzeba tym dzieciom coś zostawić, coś im dać, tak samo jak myśmy od rodziców także coś wzięli.

Burski patrzył ciągle na pana Alberta. Obracał swoje cebulaste oczy z jednej strony na drugą, ale nigdzie nie znalazł konceptu do odpowiedzi. Jakiś zły duch szeptał mu ustawicznie do ucha, aby wzajem pana Alberta zapytał, co on wziął, a co zostawi córce swojej?...

Odpędził jednak w sam czas pokusę i odparł:

— Gdyby dziecko moje było inaczej wychowane, możebym mu co zostawił, ale tak... tak jestem jak kurka, która kaczęta wysiedziała. Czyż ona może pójść za kaczkami na wodę?..

Burski roztarł w oku łzę.

— Otóż właśnie chcę z tobą o tem mówić — odparł pan Albert — i cieszę się, że sam mi sprawę ułatwiasz.

Burski z uwagą spojrzał na mówiącego.

— Więc przyszłość twego dziecka nie jest ci obojętną?

— Gdybym tylko mógł się zdać na co temu dziecku!

— Przyszedłeś do tego przekonania, żeby lepiej było, gdyby córka twoja była została tam, gdzie się urodziła?

— Ach, wielmożny panie, o tem nie ma już co mówić!

— Prawda, że nie ma co mówić, bo się stało, a ja nawet sam sądzę, że się stało źle.

Burski pokiwał głową.

— Otóż to złe trzeba jakoś naprawić, a ja czuję obowiązek do tego.

— Na to nie ma rady!

— Rada się znajdzie, jeźli są pieniądze.

— Pieniądze? — powtórzył Burski i wpatrzył się w pana Alberta w tem mniemaniu, że zwaryował.

— Mam zamiar wynagrodzić twoją długoletnią służbę, jednak pod tym warunkiem, aby przez to otworzyć jaką lepszą przyszłość dla Olgi — wyrzekł uroczyscie pan Albert.

Burskiemu stanęły w krąg oczy. Patrzył i patrzył, ale w tej chwili nic nie widział przed sobą.

— Chcę — mówił dalej pan Albert — abyś pozycją swoją poprawił w ten sposób, żeby Olga stosownie do swego wychowania mogła wyjść za mąż.

Burski rozśmiał się dzikiem śmiechem.

— To być w żaden sposób nie może — odpowiedział ze łzami w oczach — ekonomskiej skóry nikt ze mnie nie ściągnie, a przecież Olga musi mieć ojca.

— A gdybyś naprzykład przyszedł do jakiejś wioski... wioszcyny... wiosieczki — ciągnął powoli pan Albert.

Burskiemu uderzyła krew do twarzy. Posiniał cały



podniósł do góry ręce kurczowym ruchem, a z krótkich popękanych palców wysunęły się ostre paznogie, jak szpony u jastrzębia...

— Wioski.. wioszczy.. wiosieczki? — powtórzył z uśmiechem szaleńca, podczas gdy łyż jak groch kapały mu po twarzy — wioszczy.. wiosieczki...

— Tak wiosieczki, chociażby to był tylko tytuł dziedzica. Dzisiaj pozory znaczą bardzo wiele. Nikt nie patrzy na dno kieszeni, byle tylko kieszeń była. Ale bez kieszeni to wara wystawiać nos do ludzi!..

— Wioski!.. wiosieczki! — powtarzał jakby w obłąkaniu Burski.

— Do córki dziedzica wiosieczki mógłby nawet ktoś z waszecia przyjechać... nawet powozikiem.

— Powozikiem! — powtarzał Burski jakby bez myśli.

— A zresztą, kto wie, kto by przyjechał... możeby przyjechał nawet...

— Cyt! — zawołał Burski i rozśmiał się — cyt, aby go nie spłoszyć! Nie trzeba płoszyć!

— Tylko we własnym interesie musisz jeden warunek wypełnić, bo bez tego cała sprawa upadnie.

Burski położył rękę na sercu na znak, że przysięga.

— Trzeba, abyś się ludziom zgubił. Abyś tak wyjechał, żeby śladu po tobie nie znaleźli. Musisz zatrzeć za sobą to wszystko, czem dotąd byłeś, aby się nikt o tem nie dowiedział. Wypłyniesz w oddalonych stronach nagle z ziemi jako człowiek nowy, i nikt nie powinien się turbować o twoją przeszłość. Inaczej córka twoja nie może być tem, czem być zasłużyła. Rozumiesz?

— Ściągnę skórę z siebie, aby mnie ludzie nie poznali, aby dziecku memu nie zagradzać drogi do szczęścia. Przepadnę, że ani leśniczy, ani gorzelnik nie będą wiedzieli, czy się powiesił, czy diabeł go porwał!

— Tak, tak... pod tym warunkiem, to jest pod warunkiem szczęścia twego dziecka, mogę ci to dać.

Tu wyjął pan Albert sporą paczkę banknotów, aż Burskiemu oczy na wierzch wylazły.

— Wielmożny panie — ryknął płaczem — a czemu ja na to sobie zasłużyłem! To miłosierdzie Boga przedwiecznego!..

— Tu masz wycinek z gazety, że na drugim końcu Karpat, na Beskidach, jest wioska, której tytuł dziedzictwa można nabyć za parę tysięcy, a reszta pozostaje przy ziemi... Nie jest to wiele, ale jesteś — dziedzicem!.. Rozumiesz? Dziedzicem!..

Jeszcze czas niejaki rozmawiał w ten sposób pan Albert ze starym Burskim, który coraz więcej od zmysłów odchodził z wielkiego szczęścia.

Dopiero po godzinie mógł Burski być we własnej izdebce, i tam pofolgować wezbranym uczuciom.

Zawołał Olgę, zamknął starannie sięń, drzwi i okna, a nawet i komin zasunął.

Olga była przyzwyczajona do dziwactwa ojca, ale teraz uczuła jakąś trwogę.

Gdy Burski już szczerlnie wszystko pozamykał, przystąpił do córki i krzyknął jej do ucha:

— Jestem dziedzicem!

Olga przestraszyła się. Burski mignął jej paczką banknotów przed oczyma.

— To dla twego szczęścia, moje dziecko — rzekł z rozczuleniem i rozplakał się.

— Zkądże te pieniądze? — zapytała z trwogą Olga.

— Za dwadzieścia sześć lat służby wiernej! — odpowiedział ocierając oczy Burski.

Olga odetchnęła.

— Cóż mówił pan Albert? — zapytała.

— Mówił, aby kupić wioskę; ot tu masz kawałek gazety; mówił, aby to zrobić dla ciebie, bo inaczej nie możesz wyjść za mąż. A gdy będziesz córką dziedzica, to wtedy przyjedzie on w powozie...

Szkarłatny rumieniec wystąpił na twarz Olgi.

— Kto przyjedzie w powozie? — zapytała z bijącym sercem i położyła rękę na piersiach.

— Kto? — powtórzył w szale radości Burski — ty niby nie wiesz!.. Ten, co będzie... twoim... mężem — wyszepnęła powoli do jej ucha.

Olga poczerwieniała jeszcze mocniej i zbladła.

— Któż o tem mówił? — zapytała po chwili z ciężkim oddechem.

— Pan Albert — szepnął jej znowu Burski do ucha.

Olga stanęła nagle rozpromieniona, ale stanęła nieruchoma jak posąg.

— To być nie może! — wyszepnęła z cicha, a przeczysty źródł łez wypłynął z jej oczu szafirowych.

— Zaklinam się na Boga i na nieboszczkę matkę twoją! — zawołał Burski i podniósł rękę do góry.

Olga wybuchła teraz głośnym płaczem.

— Płacz, dziecię, płacz! to łyż radości i szczęścia, one sprawiają ulgę zboląlemu sercu... płacz, bo trzeba wkrótce nam ztąd zniknąć, rozumiesz, dziecko, zniknąć.

— Jako zniknąć? — zapytała szybko Olga.

— Pan Albert mówił, że ludzie są źli, a jak się komu do pięty przyczepią, to ich i diabeł nie oderwie. Otóż trzeba się od tych ludzi zgubić, daleko za nimi wypłynąć, wypłynąć dziedzicem, bez ekonomskiego batoga, aby tobie już nic nie mogli zarzucić, i aby potem mógł on przyjechać w karecie...

Olga rzuciła się na piersi ojca.

— A ja ci przysięgam, że potrafię być dziedzicem. Każę sobie felczerowi zdjąć skórę ekonomską, ubiorę się w pyszne sukno, i będę tak stapał z góry, jak to panowie zwykli czynić...

— Ojczy, czy to tylko będzie dla mnie szczęściem? — szlochala Olga na piersiach ojca.



— Pan Albert wyraźnie... ale cyt o tem... wyraźnie mówił mi, że to tylko dla twego szczęścia robi, że inaczej nie mogłabyś być szczęśliwą... że są pewne przesady... że nawet on nie mógłby przyjechać do ciebie, moja gołąbko!..

— Czyż on koniecznie tego potrzebuje?

— Jak cię kocham, że potrzebuje, bo każdy konkurent woli wejść do dworu dziedzica, niżeli do domku ekonoma. Zaraz inna mina, inaczej ludzie mówią!..

Olga zwiesiła smutno głowę. Zaciężyła jej mocno w tej chwili, bo tyle myśli i marzeń zeszło się tam razem.

Cóż to wszystko znaczy? — pytała siebie. — Czyż to jest delikatny sposób pomocy, aby marzenia jej mogły się ziścić? Czyż to nie oczewista, że pan Albert dowiedział się o wszystkim, i nie chąc ranić jej dumy, stara się w tak szlachetny sposób odsunąć niektóre konieczne przeszkody na drodze do jej szczęścia? Czyż to nie jest wyrafinowana delikatność, aby drugiemu dopomódz, a godności jego nie ubliżyć? Czyż to nie jest prawdziwa nić Aryadny, którą jej do ręki podano, aby z labiryntu uczuć swoich wyszła do mety?..

Przedtem widziała Olga wielkie przeszkody na drodze swoich marzeń, teraz dobroczynna ręka usuwała przeszkody, ale sama nie chce być widzianą.

Olga rozplakała się po raz wtóry, ale były to łzy szczęścia i roskoszy. Dziękowała Bogu, że ludzie takimi stworzył, że w ich serca wlał tyle miłości, że czyniąc dobrze czynią to w ukryciu.

Postanowiła przyjąć ich miłość, ale przyjąć ją tak, jak ją oni dawali, potajemnie, nie obciążając jej długiem wdzięczności.

Ale dług ten zapisała głęboko w sercu swoim.

## ROZDZIAŁ XII.

Od tej rozmowy ojca z córką upłynęły dwa dni, dni nieustannej gorączki i dziwnych wzruszeń.

Stosownie do warunków, postawionych przez pana Alberta, wybierał się Burski do wyjazdu z miejsca, w którym przeżył lat dwadzieścia sześć i kilka miesięcy.

Jakkolwiek prawdziwy powód wyjazdu ojca i córki miał dla wszystkich mieszkańców pałacu i oficyny pozostać tajemnicą, trudno jednak było staremu Burskiemu tego warunku w całym znaczeniu dopełnić. Wprawdzie leśniczemu i gorzelnikowi powiedział, że jedzie dla obięcia spadku po jakimś krewnym, wprawdzie i Moszko z karczmą na Rozstajnej podobną otrzymał odpowiedź, ale gdy propinator pałacowy dobrą wódeczką go poczęstował i jeszcze na zakąskę dał mu spory kawał piernika, Burski nie mógł wytrzymać, aby takiej gościnności nie odwzajemnić szczerością. Pociągnął więc żydka za pejsy do alkierza, wydobył z zanadrza paczkę banknotów i mignął mu tak zręcznie przed oczy, że propinator najmniej trzy razy tyle widział pienię-

dzy, ile ich było w rzeczywistości. Potem szepnął mu do ucha, że to dostał od pana Alberta, aby dla Olgi wieś kupić.

Propinator wziął się za brodę i pomyślał nad tem chwil kilka. Wiedział o każdym groszu, który do pałacu wpływał, a nawet było to w jego interesie o tem wiedzieć. Zkąd się nagle taka sumka wzięła? Jaki był prawdziwy powód wyszafowania tych pieniędzy? Dlaczego dano je do rąk ekonoma, gdy w pałacu była wielka bieda?

Były to dla niego pytania, na które nie umiał odpowiedzieć. Pytania te miała dopiero pochwytać kiedyś opinia publiczna i na nie odpowiedzieć.

Tymczasem przygotowania do wyjazdu były dla całej służby pałacowej nierozwiązaną zagadką. To, co stary Burski opowiadał półgębkiem, nie odpowiadało ciekawości, która całą sprawę chciała widzieć jasną i przezroczystą. Nawet Anatol dał Burskiemu kilka poufnych szturchańców, aby coś od niego wydusić; ale Burski tym razem tak odważnie brwi nasrożył i wszelką podobną poufałość sobie wymówił, że stary lokaj musiał się cofnąć na swoje przedpokojowe stanowisko.

— Czy ty wiesz, do kogo mówisz, stary błaznie? — krzyknął mu Burski tak niespodzianie do ucha, że w niewytłumaczony dotąd sposób zdjął przed nim czapkę i dwa kroki odszedł od niego.

Olga opuszczała pałac z wilgotnemi oczyma, ale zesołym uśmiechem na ustach. Jakaś skryta myśl paliła się w jej oczach i mimo łez zaschłych dodawała im blasku nadzwyczajnego.

Wkoło niej działy się rzeczy, które doskonale pojmowała i rozumiała.

Zaraz po rozmowie z ojcem pobiegła do Adelaidy i rzuciła się jej w ramiona, aby uściskiem bez słów powiedzieć jej, że już wie o wszystkim.

Adelaida cofnęła się od tego uścisku. Zimny, obojętny uśmiech zaigrał na jej twarzy.

— Nie rozumiem cię — rzekła do niej — i nie wiem, jaki powód jest tej szalonej radości. Spodziewałam się, że uczujesz więcej żalu rozstając się ze mną...

Olga wybuchała teraz płaczem. Strumienie gorących łez polały się z jej oczu. Usta Adelaidy zadrgały, usiłowała uśmiechnąć się.

— Nie spodziewałam się takiego skutku żartobliwych słów moich — rzekła do niej odgarniając jej włosy z czoła — bo byłam przekonaną, że radość twoja z widoków szczęścia przygłuszy ból rozstania. Mnie to przystoją łzy takie, bo tobie otworzono drogę do szczęścia, a ja jeszcze tej drogi przed sobą nie widzę.

Twarz Adelaidy oblokła się smutkiem. Olga z całą namiętnością rzuciła się jej teraz na szyję.

— Będę się modlić do Boga, abyś i ty była szczęśliwa! — zawołała po namiętnym pocałunku.



Olga wierzyła w szczęście swoje. Ona czytała w oczach Adelaidy, że tam właśnie przesuwają się teraz obraz Edmunda, któremu jej dobroczyńcy ułatwiają do niej drogę w sposób tak szlachetny. Adelaida nie wspomniała jednak o tem ani słówkiem, ani nawet imię Edmunda nie przeszło przez jej usta, bo jakże mogło być inaczej?

Serce kobiety w pewnej fazie uczucia nie otwiera się przed nikim. Żadna, choćby najbardziej przyjazna ręka nie dotknie się go wtedy, szanując wielką dobę wielkiego uczucia. Zwierzenie się z tem uczuciem przed trzecią osobą jest oznaką, że ten święty posłaniec nieba gotuje się do wyjścia z chwilowego przybytku, lub że tam wcale nie przebywał.

Milczenie Adelaidy o Edmundzie, który według zdania Olgi był jedynym celem tej zmiany, uważała Olga za wysoką delikatność, i w sercu swoim była jej za to wielce wdzięczną. Jawne bowiem wytoczenie tej sprawy byłoby zawsze dla niej upokorzeniem. Powiedziano by jej, że taka, jaką dziś jesteś, nie wystarczasz dla Edmunda. Trzeba, abyś pozycyą podniosła się wyżej do niego, a on uniknie wtedy skandalu, jakim w jego sferze jest podobne ożenienie się.

Myśl ta i tak była dla niej bolesną, a cóżby dopiero, gdyby ta sprawa była traktowana otwarcie?

W milczeniu więc Adelaidy i pana Alberta była wysoka wyrozumiałość, za jaką była im nadzwyczajnie wdzięczną. Tylko gorącymi uściskami i płaczem mogła z nimi mówić, mogła im okazać, że wie o ich skrytych intencjach. Półśłówka wypowiedziane przez ojca utwierdziły ją w tem mniemaniu, że to wszystko dzieje się, aby jej marzeniom nic w drodze stanąć nie mogło.

Tak sobie to wszystko wytłumaczyła Olga. Bolała wprawdzie na dnie duszy, że się rozstaje z domem, w którym się wychowała, ale na tem dnie duszy były także rokoszne marzenia przyszłości, które ten ból miarkowały. Na ustach więc Olgi, przez te dwa dni, obok łez świeżych i zaszłych był także uśmiech szczęścia, była nawet czasem wesoła piosenka.

Zdawało się Oldze, że jej tylko kazano teraz odegrać małą rolę, bo tego wymagała sytuacja, a po odegraniu tej roli zawiązać się napowrót dawne stosunki.

Była więc dosyć wesoła i nie ukrywała tego przed służbą. Zbierała się z całą spokojnością, i nie spodziewała się nawet teraz Edmunda, gdy po bliższym zastanowieniu się przyszła do przekonania, że Edmund o tej całej grze wie doskonale, i w tym zamiarze naumyślnie

z domu odjechał, aby obecnością swoją nie psuła misę sceny.

Żegnała się więc dosyć wesoło z tem wszystkim, co jej tutaj dwudziestoletnie życie przypominało. Wszystkie pokoje, sprzęty, obrazy, a nawet czerwonego diabła pożegnała serdecznym pocałunkiem. Pożegnała kanarkę i papugę, pożegnała ze smutkiem fortepian i to echo dla niej tak usłużne, które jej piosenki powtarzało nocną porą przy oświeceniu księżycowem. Ulubionej cytry nie żegnała, bo tę kazała Adelaida staremu Burskiemu zapakować i do kufra włożyć.

Stary Burski chciał tak ściśle dopełnić warunków swojej dotacji, że zaraz na początku ułożył sobie plan zgubienia się ludziom. Chciał zaraz od najbliższych zacząć się gubić, od Anatola, leśniczego i Moszka z karczmy.

W tym celu ogłosił, że z pałacu rano po śniadaniu wyjedzie, a tymczasem zaraz po północy, przy świetle księżycy, postanowił wyruszyć.

I tak się też stało. Po herbacie, gdy służba na spoczynek się już udała, a w pokoju pana Alberta tylko Adelaida i Olga jeszcze czuwały, zajechał wózek Burskiego przed schody pałacowe, z których jak dwa duchy wyszły zakapturzone kobiety i w milczeniu na wózek siadły.

Była to Olga z wierną służącą. Na balkonie stała Adelaida jak zaklęta księżniczka czarodziejskiego zamku, i w srebrnym świetle księżycy powiewała długą białą chustką.

Wózek zaturkotał cicho i zniknął w ciemnej alei.

Zaraz za aleją skręcił Burski na prawo.

— To polna droga! — szepnęła Olga z jakąś obawą.

— Wiem, moje dziecko — odparł przytłumionym głosem Burski — wiesz, że przedewszystkiem musimy.. zgubić się ludziom — chciał dodać, ale przez wzgląd na służącą musiał się powstrzymać. Olga jednak wiedziała, co chciał dopowiedzieć.

I dziwne wydało się Oldze to „gubienie się“ starego ojca. Gdyby zbrodniarz uciekał od miejsca, gdzie zbrodnię popełnił, gdyby morderca chciał uniknąć widoku krwi, którą przelał nielitościwie, gdyby wreszcie złoczyńca, poczuwszy za sobą pachołków sprawiedliwości, chciał goniącym za nim trop zmylić: nie mógłby użyć większych środków ostrożności, jakich w wymarzonej swojej ucieczce używał teraz stary Burski.

Ucieczka Burskiego nie równała się ucieczce zbrodniarza. Ten ucieka tylko przed ręką karzącej sprawiedliwości — tamten uciekał.. przed sobą!

Zaiste smutna, tragiczna ucieczka!

(Ciąg dalszy nastąpi.)



# WIGILIA SAMOTNYCH.

PRZYJACIELOWI MOJEMU

JULIANOWI CHOROWICZOWI.

Nie prawdaż, razem zemną czujesz urok tajny  
W tem święcie wigiliowem cichem i skupionem?  
I twojem też poezya Wiary wstrzęsła łonem,  
I tobie ten dzień zwykły zda się niezwyčajny?  
Z dziecięcych naszych wspomnień najmiłsze, najcichsze,  
Najmniej ozłocone fantazyi czarami,  
Jest to drzewo gwiazdkowe — zwiędnięte za nami,  
I to echo kolendy, co drzy w grudnia wicherze.  
Oh! dużo nam relikwii po drodze zabrano,  
I dla złudzeń tak wielu pierś się stała trumną!  
A jednak z wiliowego stołu zeszcłę siano  
Pochyla na kolana Wiedzę naszą dumną,  
Pachnie dla nas jak mirra pobożnego króla,  
I wiecznie betlejemska gwiazda nas rozczula.

O bo ta gwiazda wiedzie, zdaleka i zbliska,  
Jako niegdyś do żłobka pastuszków i króle,  
Rozprószone po świecie iskry do ogniska,  
I napełnia pszczoł gwarem macierzyste ule.  
W ten wieczór, ponad mężem, co los światów waży,  
I ponad głową mędrca myślą ocieżała,  
I nad zawianą śniegiem lepianką nędzarzy  
Ten sam anioł przelata, wiejąc szatą białą;  
I szepce w ucho męża; ojca, w serce syna  
Martwe nieraz rok cały słóweczko: — Rodzina!

O, jakimż srebrnym dźwiękiem na serce mi spada  
To echo magicznego wiliowego hasła!  
Ściana mojego domu drogą wrzawą gada:  
Lśni blaskiem żywym matki żrenica przygasła,  
Oglądam znowu zmarszczki ojcowskiego czoła,  
Prostuje się przedemną postać jego krzepka,  
A rzesza braci moich i mych siostr wesoła  
Rozdźwięcza rdzeń sędziwy dębowego stoła,  
Co stoi, kędy niegdyś stała ma kolebka!  
Błogosławieństwo Wierze, co zna serce ludzi!  
Błogosławieństwo ludziom, co swój cel pojęli,  
Co się w jarzmo rodzinne chętnie wprzęgli, wolni.  
Biada tym, którzy żadnej rodziny nie mieli,  
Albo ją utracili, lub jej mieć nie zdolni:  
Srogiego sępa święto to w ich piersiach zbudzi!

\* \* \*

Znasz wieczór wigiliowy w mieście. Mrok zapada,  
Całodzienny gwar ulic urasta w potęgę;  
Jak gdyby krzątająca się ludzka gromada

Spieszyła zamknąć życia powszedniego księgę.  
Korytem ulic płyną czarne tłumy rzeki,  
Cel ich wspólny i miły, bliski czy daleki.  
Z biór zajęci niewolnicy i przybysz spóźniony  
Skrzypią spiesznemi stopy po zmarzniętym śniegu;  
A każda z tych fal rzeźwo przybija do brzegu:  
Z piersi, zwykle milczącej, słyhać piosnki tony,  
Ciężki krok robotnika oddzwieka w przestrzeniach,  
Aż znikną krok i piosnka, po bramach i sieniach,  
Coraz ciszej.

Wystawy światłem jaśniejące  
Gasną jedna po drugiej. Słyhać ryglów szczęki,  
I zgrzyt żelaznej śruby od sztaby sklepowej,  
Milknie w zaułkach echo hulaszczey piosenki,  
I tony katarynki nosowe i drzące;  
Coraz mroczniej.

Cień nocy zniża się surowy.  
Czasem jeszcze dalekiem echem zaturkota  
Dorożka zapóźniona; śnieg skrzypnie w oddali,  
Ognik w gospodzie spojrzy blade, jak sierota,  
I ciemno, cicho, pusto na chodniku dźwięcznym;  
Tylko latarni oko złociste się pali,  
Urągając ukrytym promieniem miesięcznym,  
I płamiąc smugą cienia białą śniegu szatę;  
Tylko szeleści ptactwo ciemności, skrzydlate,  
Nad zolbrzymioną nocą wieżycą kościoła,  
I daleka straż wzajem przeciągle się woła.

Lecz wsłuchaj się w tę pustkę, jakżeż pełna ona!  
Każdy dom jak mrowiska ludność rozbudzona,  
Jakby gaj o zachodzie, jak ul na wyroju,  
Jak motyle pstre pułki, o skrzydełkach z tęczy,  
Jak muzyka podziemna cudownego stroju,  
Porusza się, szczebioce, szeleści i dźwięczy!  
Mury żyją i dyszą serdeczną uciechą,  
Szyby jasne, czy pyłu pokryte zasłoną,  
Jak żrenice radośne jednakowo płoną,  
A piwnic i salonu całuje się echo.  
Ach, jestże takie gniazdo skrzywdzone najsrożej,  
Albo strzecha, w zakątku tajnym, tak uboga,  
W którejby dziś nie ścichło, co boli i trwoży,  
Gdzieby nie było w dniu tym opłatka i Boga!

Tu ciemno. Ale spojrzuj, w domach coraz jaśniej!  
Tu cicho. Ale słuchaj, w domach coraz gwarniej!



Okrzyk co chwila, coraz nowy głos szczebiota;  
Co chwila wyjrzy główka niecierpliwa, złota  
Z okna i z wstrzymującą mateczką się waśni:  
Na ten widok duchowie nikną z niebios czarni,

I wszystko cichnie naraz. A w przestrzeniach słyszy  
Prosta dusza, i hardy rodziny bluźnierca,  
Święty szelest opłatka, łamanego w ciszy,  
I rosę błogosławięństw spływającą w serca!



MADONNA. (Rzeźba Kucharzewskiego).

W kształty chmur ustrojeni; — błękit się rozlewa  
Coraz szerzej — jak wielkie jezioro wiszące,  
I wschodzi srebrna gwiazdka — wigiliowe słońce!  
Otchłanie szepcą: — Chryste! — a ku niebu strzela  
Z miliona piersi wielki dytyramb wesela!

Zamilkną dna i szczyty. Aż czas uroczysty  
Pęka, niby zakłęcie, i piersi odmyka:  
I bucha naraz głosów zmieszanych muzyka,  
Ponad którą goruje dziatwy krzyk srebrzysty;  
I biją fortepianów naiwne kapele,



I nóżek trzepocących, bez taktu, uciecha,  
I życzeń zamienianych słowa złotoustę,  
I patrzące przyszłości w twarz hardo — wesele,  
I drzące jeszcze całe pocałunków echa,  
Woń choiny, blask świateł — na ulice puste.

Czy puste? Możeś widział te postacie ciemne,  
Wychodzące pospiesznie z tych radośnych domów,  
Jak gdyby śmiech za nimi huczał głosem gromów,  
Jak gdyby ich ścigały pogonie tajemne.  
Czyś po śnieżnej zamieci śledził, przyjacielu,  
Spojrzeniem i pytaniem te zagadki czarne,  
Błądzące ulicami lękliwie — bez celu,  
Takie ciche — a taką wrzawą w sobie gwarne?

Uciekli oni z zimnych, samotnych poddaszy,  
I z bogatych pokojów milczących uciekli,  
I za sobą kulawą Tęsknicę powlekli;  
A szukają gwiazd... bo ich ścian samotność straszy,  
A złąkani — bo w siebie patrzeć się nie mogą,  
A cisi — bo huragan w ich duszy się kręci,  
A pędzą — bo ujść pragną myśli i pamięci,  
A błądzą — bo na drodze nie mają nikogo!

Są to różne sieroty: ten kroki szybkimi  
Na cmentarz idzie łamać serce, jak opłatek;  
Ten nie ma ni umarłych, ni żywych na ziemi;  
Ten — z dalekich ogrodów przesadzony kwiatek,  
Nikogo tu nie znalazł swej barwy i woni,  
I myślą kraj rodzinny w mgłę dalekiej goni;  
Wszystkich sęp samotności w szponach swoich trzyma.  
Mijają się, pytając błędniemi oczyma;  
Po bladej twarzy poznasz młodego pioniera,  
Co nie zaczął budować jeszcze swego domu;  
I tego poznasz także: — ach to dziecko sromu,  
W ojcowskie może okna z bluźnierstwem spoziera!  
A temu matka nędza, odjąwszy go światu,  
Narzuciła przekleństwo srogie, celibatu:  
O miasto! iluż takich w twych wnętrzościach wzdycha!  
A ten mędrzec, z gęstemi zmarszczkami u czoła,  
Zapóźno do miłości chciał sięgnąć kielicha;  
A temu śmierć zabrała — po jednym — cicha,  
Ach, wszystkich biesiadników wiliowego stołu!

Więc bieżną, więc ujść pragną i domów widoku,  
I wrzawy, co się zdaje z ich sieroctwa szydzić,  
I blasku, coby dojrzał grube łyzy w ich oku,  
I szczęśliwych, których się boją znienawidzić;  
Od pracy porzuconej, bez siły i wiary,  
Od straszliwej uczucia i rozumu kłótni,  
Od echa ścian sąsiednich, od drzwi swoich szpary,  
Zazdrośni — nienawistni — lub do śmierci smutni!  
Czarna ziemia ich stołem, obrusem śnieg biały,  
Pamięć lampą ślepiącą — mary ucztę dzielą,  
Pokarmem życia wątek — już przeżuty cały,  
Napojem łyzy, wiatr ostry szydzącą kapelą,  
Pragnienie śmierci — hucznym odgłosem wiwatów,  
Opłatkami — chyba księżyc — biała hostya światów.

Tak idą, mrugającym gwiazdom widowisko,  
Skradając się w ciemności, pod murami blisko,  
Nędzarze obsypani śmiechem — jak perłami,  
Zwiędłe kwiaty, zlewane pełną życia rosą;  
I coraz szybsze biorą przed siebie rozpędy,  
Ścigani skrzydlatymi radości głosami  
I naiwną melodyą znajomej kolendy:  
I po pustych ulicach pustkę swoją niosą.

O bracie! jeśli kiedy dom twój uweseli  
Szczęście, płynące z cichych, białych rąk kobiety!  
Jeżeli życie twoje — jak chleb się rozdzieli,  
Jeżeli będziesz kiedy jak dyament rozbity,  
Widzący cząstki swoje — i w każdej z nich siebie;  
O bracie, jeśli znajdziesz się w rodzinnym niebie,  
U wiliowego stołu zostaw miejsce jedno  
I, jak ewangeliczny gospodarz, przyprowadź  
Z ulicy ośnieżonej — jaką duszę biedną  
I każ ją dzieciom twoim z rozpaczony ratować!  
Uwierz, o ty, co badasz głębi ludzkiego ducha,  
Jak straszna jest w ów wieczór pustka wkoło głucha,  
I na pustą ulicę patrząc — pomyśl, proszę,  
Że i ja się z sieroctwem beznadziejnym noszę,  
I że, jak inni, przędząc szare smutku włókno,  
Stać gdzieś będę — patrząc w cudzych ludzi okno!

WEAD. ORDON.

Lwów 1873.



# EUROPA

## SZKIC GEOGRAFICZNO-HISTORYCZNY.

PRZEZ Ł. TATOMIRA.

Europa leży pośrodku kontynentalnej półkuli globu ziemskiego. Jest ona punktem centralnym olbrzymiej grupy lądów, które opasały wieńcem biegun północny, spuszczając się daleko ku południowi zwężonemi kończynami swemi. Od wschodu łączy się Europa bezpośrednio z Azyą. Od zachodu oddziela się od Ameryki Atlantykiem, który tutaj jednakże znacznie jest zwężony i podobniejszy do morza śródziemnego, niż do niezmiernych przestworów oceanów, zalewających półkulę południową. Od południa odgranicza ją od Afryki morze Śródziemne, w kilku miejscach półwyspami znacznie ścieśnione i zasiane mnóstwem wysp.

W stosunku do olbrzymiego kontynentu Azji jest Europa półwyspem, który wyrasta z północno-zachodnich nizin jego szerokim obszarem jednolitych płaszczyn, jakoby szlachetna płonka z dzikiego pnia. Stepowe pustynie nad Aralem, Kaspikiem i Azowem i pomosty wyżynowe, ciągnące się od podnóży Uralu aż pod stopy Karpat, tworzą jakoby naturalną drogę pomiędzy temi oboma kontynentami, które w tej stronie rozdziela tylko lesisty, niewysoki i przystępny Ural.

Im dalej od pnia azyatyckiego, tem bardziej zwęża się kontynent Europy, ale zarazem i tem więcej się urozmaica. Jednostajność wschodniej, płaszczystej połaci tego kontynentu gubi się w dalszej zachodniej jego połowie, a natomiast wzbijają się w różnych kierunkach pasma i gniazda gór z nizin wybrzeżnych i z dolin nadrzecznych, spiętrzają całe krainy i rozsyłają ich wody w różne strony. Rąbek wybrzeży wygina się i dzierzga przeróżnie, i lity trzon suszy europejskiej rozrasta się w liczne konary, gałęzie i gałązki, pomiędzy które wkrawują się głęboko morza śródziemne i częściowo zamknięte. Półwysep Skandynawski i Duński zamykają Bałtyk. Archipelag Brytański oddziela morze Północne od Atlantyku i wraz z Szetlandami, wyspami Faröer i Islandyą tworzy jakoby naturalne stacye na drodze do Grenlandyi i do wybrzeży północnej Ameryki. Półwysep Pirenejski wybiega daleko na ocean Atlantycki i wskazuje przylądkiem Finisterre na Azory i na amerykańską wyspę Nowej Fundlandyi, a przylądkami Tarifa i Gibraltar patrzy na afrykańską Ceutę. Na południu półwyspy Apeniński i Bałkański, rozgraniczone adryatykiem ramieniem morza Śródziemnego, i wyspy Korsyka i Sardynia dzielą toż morze na kilka naczyń, i pierwszy przez Sycylią i drobną grupę skalistych wyseppek Małty sięga do afrykańskiego przylądka Bon, a drugi zamyka morze Czarne, pozostawiając mu tylko wąskie ujścia przez

Bosfor i Dardanele, i gromadą Cyklad i Sporad rozpierzcha się po morzu Egiejskiem, tworząc wielki wyspiarski gościeńiec od szczybatych zatok Morei do wybrzeży Lewanty i Egiptu.

Europa jest więc pośredniem ogniwem pomiędzy Azyą, a Afryką i Ameryką. I istotnie też ułatwiała ona od wieków związki pomiędzy temi częściami świata. Owym gościńcem lądowym pomiędzy Uralem i Kaspikiem, zwanym dlatego bramą narodów, napłynęły do Europy z wyżyn Iranu szczepy aryjskie i zaludniły ją już w przeddziejowej przeszłości, a w czasach nowszych już przewalały się tędy przeliczne hordy turańskich i sybirskich barbarzyńców, spadając jak chłosta boża na osiadłe i rozgospodarowane już na jej niwach ludy. Owym wyspiarskim traktem przybywali do starożytnej Hellady mityczni jej cywilizatorowie z Fenicyi i Egiptu, wędrowały kupieckie drużyny Fenicyan i rozsiewały swoje kolonie po wybrzeżach afrykańskich, sycylskich i hiszpańskich, wybiegając aż poza słupy Herkulesa. Przez ostrowy maltańskie dostali się Arabowie do Sycylii, a przez cieśninę Gibraltaru do Hiszpanii. Archipelagiem Egiejskim i przez Bosfor i Dardanele wdarli się Turcy do cesarstwa greckiego.

Olbrzymia Azja nie mogła się wyczerpać; tłumne wychodźstwo całych szczepów nie groziło jej wyludnieniem, i oddawszy Europie najszlachetniejszą część swojej ludności, zalewała ją jeszcze przez wieki niszczącemi nawałami ludów mongolskich. Ale mała Europa nie mogła tak szybko dalej wypromieniać otrzymanego z Azji napływu. Ocean Atlantycki, który młodzieńcza wyobraźnia ludów starożytnych, a nawet jeszcze i średniowiecznych, zapełniała straszniemi dziwami, nie dozwalał bowiem tak łatwych wędrowek na zachód i powstrzymał przedczesne wychodźstwo, a przyroda Europy przykuwała do niej ludy.

Ani tak zimna, jak północna Azja i północno-amerykański archipelag, ani taka spiekła, jak środkowa Afryka, leży cała Europa, wyjąwszy skrajny rąbek swoich wybrzeży arktycznych, w strefie umiarkowanej, odznaczając się jednak wielką rozmaitością stosunków klimatycznych. Bogata w urodzajne gleby, daleką jest zarówno od jałowych rozłogów centralnej Azji i piaszczystych pustyni Afryki, jak i od przygłuszającej człowieka, rozbujającej płodności Indyi nadgangiesowych. Spiętrzona w różnych stronach pasmami gór, zroszona obfitemi wodami, nie ma jednak Europa ani takich niebotycznych olbrzymów, rozgradających nieprzebytym murem kraje i ich mieszkań-



ców, jak Azja, ani takich nieprzejrzanych zalewów wodnych, jak Ameryka.

Nie stawiała więc Europa pierwotnym osadnikom swoim nieprzeparty przeszkod, lecz owszem przychodziła w pomoc ich rozwojowi, zniewalając ich do stałego osiedlenia się, do pracy ciągłej i do samoistnego wyrabiania władz ich fizycznych i umysłowych. Jak rośliny, służące do pożywienia człowiekowi, przyniesione w większej części ze wschodu do Europy, tutaj się uszlachetniły, tak i człowiek przybyły z Azji porzucił w Europie rozpierchłe koczownicze życie, związał się w stałe osiadłe narody, rozwijał się i doskonalił, dojrzewał moralnie, uszlachetniał się i przychodził do samopoznania, do poczucia sił swoich i swojej wyższości nad całą przyrodą, która poddawała się tutaj łatwiej, niż gdziekolwiek indziej, jego panowaniu, aż w końcu stała się zupełną jego niewolnicą. Tak więc była Europa niejako szkołą człowieka, jak Azja jego kolebką.

Jakoż istotnie tylko ci wychodźcy z Azji, którzy przed rozpróśzeniem się po innych kontynentach przeszli przez cywilizacyjne wpływy Europy, upamiętnili się w dziejach i wydali plon dla przyszłości. Nawet nieśmiertelne prawdy chrześcijaństwa, objawione w Azji, zdobyły sobie powszechne i stałe panowanie dopiero w Europie i przez Europę zawładnęły światem. Jak pyłek nasienny, który zamiast paść na osadnik kwiecia wiatry rozwieją, tak wszystko to, co Azja w inne strony, na zewnątrz, zamiast do tego centrum kontynentów, wypromieniła, niszczało bezowocnie. Tak naprzykład azyjscy Malajczycy, którzy wyszli na archipelag australski i do Nowej Hollandyi, zmarnieli, nie przyniosłszy pożytku ani starej, ani nowej ojczyźnie swojej, a semitycko-arabskie pokolenia, które z Azji wywędrowały na wybrzeża wschodniej Afryki, znikczemniały w Kafrów.

Tymczasem pielęgnowany na łonie Europy zasiew azyatycki potężniał i rozwijał się stopniowo do coraz wyższej doskonałości. Najwcześniej dojrzały ludy osiadłe pod pogodnym niebem Hellady i Italii i poczęły zaraz oddziaływać na sąsiednie kontynenty. Morze Egiejskie, zasiane gromadami rokosznych wysp, wypiaśtowało żeglugę Europy, było pierwszą szkołą jej marynarzy. Ono to bowiem wywabiło Hellenów z ciasnych granic ich ojczyzny, a jego archipelag zaprowadził kolonie helleńskie na wybrzeża Małej Azji. Zwycięskim orężem bohaterów z pod Maratonu, Salaminy i Plateów odparła młodzieńcza Hellada nawałę azyatycką Persów od Europy, a w dwa wieki potem zatrzęsł już Alexander macedoński, wychowanek cywilizacji helleńskiej, Azją, obalił potęgę perską, odkrył nieznaną dotąd Europie świątę nad Indem i Jaxartem, zburzył Tyr, matecznik handlu i kolonii fenickich, zhołdował bogaty Egipt i nad ujściem Nilu, w Alexandryi, zbudował przytulisko oświacie europejskiej. W sześćdziesiąt lat po tym

pierwszym objawie przewagi młodej Europy nad starą Azją przeprowadziła Rzymian Sycylia na wybrzeża Afryki do Kartaginy. Wojna morska z tą najpotężniejszą kolonią fenicką stała się kamieniem węgielnym światowładnej potęgi Rzymu. We dwieście lat od chwili, kiedy pierwsza wojenna flota rzymska odbiła od brzegów Italii, krążyły już statki rzymskie po całym morzu Śródziemnym, i cały świat ówczesny drżał przed wszechpotęgą Romy. Tak więc morze Śródziemne rozwinęło do wszechwładztwa potęgę starożytnego świata Europy, poczętą i wykołysaną na egiejskiej jego odnodze.

Od Atlantyku do Eufratu i Tygru, od Luguwallum na granicy dzisiejszej Szkocyi, od Renu i Dunaju, od nadbohskiej Olbii i Kaukazu, po granice Sahary, Etiopii i pustyni arabskiej, panowali imperatorowie rzymscy, i legiony rzymskie wymuszały powszędy posłuszeństwo ich wszechwładnej woli. Wraz z imperatorami i legionami rzymskimi zapanował na całym tym obszarze krzyż, któremu podboje Rzymian z wyroku opatrności torowały bezwiednie drogę, i który już od czwartego wieku zwyciężył zmartwiałe i spodłone bałwochwalstwo Rzymu i stał się godłem jego władców. Ale Rzym, chociaż wyrzekłszy się starych bogów zniósł i tępił nawet pogaństwo, nie mógł pogodzić swoich odwiecznych tradycyj z wiarą, obalającą z gruntu zasady, któremi się wykarmił, i na których oparła się i wzrosła jego potęga. Nowa wiara wymagała nowego porządku wszystkich stosunków życia, zupełnego odrodzenia się społeczeństwa, jakiego zgrzybiały Rzym nie był zdolny. Przekroczywszy tedy tysiąc lat wieku, pochyliło się cesarstwo rzymskie do upadku, i berło świata poczęło wypadać z jego zgrzybiałej dłoni, a natomiast okryta dotąd pomrokiem północna Europa wynurzyła się na widownię dziejową.

Nieznanie starożytnemu światu ludy, wyparte ze swych koczowisk za Karpatami nawałę azyatyckich tłumów, zalały europejskie prowincje Rzymu, a następnie i samą Italią. Kolos rzymskiego imperyum runął, a z jego upadkiem, zdawało się, że zginęło wszystko, co starożytna Europa pietnastowiekową pracą dla ludzkości była zdobyła. Ale pośród tej niszczącej powodzi ludów, jak korab Noego pośród wód powszechnego potopu, pozostał niezachwianym kościół Chrystusa; wśród tego przewrotu państwa rzymskiego ocalał przeciw jego szczątek w cesarstwie greckim, aby przechować przyszłym pokoleniom nabytki cywilizacji starożytnej.

Kościół zajaśniał w całym blasku swojej potęgi moralnej właśnie w tych strasznych czasach przerodzin Europy. Kiedy runęły wszystkie wielkości i zgasły wszystkie światła, które dotąd przyświecały Europie, i czarna rozpacz oświadczyła serca i umysły, wtedy on jeden przyświecał zrozpaczonemu nadzieją, i on jeden krzepił zwątpiały słowem niebiańskiej pociechy To też on jeden, wyższy



nad burze tego świata, sięgający duchem w sfery niedoścignione dla oczu ziemskich, był mocen zapanować rozpasanym namiętnościom dzikich zdobywców, natchnąć ich nowem, wyższem życiem i przeniknąć na wskrós społeczeństwo, które się rozgospodarowywało i organizowało na gruzach rzymskiego cesarstwa. Jak więc niegdyś kapitoliniński Rzym siłą oręża, tak teraz watykański Rzym potęgą nieśmiertelnego słowa Chrystusa, głoszonego powszędy przez jego apostołów z odwagą i poświęceniem bez granic, zapanował Europie i ujął ster jej nowożytnych dziejów.

Ale nim jeszcze ta nowa, chrześcijańska społeczność europejska wyszła z chaosu wewnętrznych przeobrażeń, stracone zostało wszystko, co świat starożytny zdobył jej był w Azji i Afryce: islamizm azyatycki zniszczył chrześcijaństwo azyatyckie i afrykańskie i orężem Arabów wdarł się nawet do południowo-zachodniej Europy, podczas gdy coraz świeże hordy dzikich najezdników azyatyckich zalewały jej południowo-wschodnie krainy. Azja uzyskała chwilowo stanowczą przewagę nad Europą. Równocześnie tedy zawrzała pod przewodnictwem kościoła krwawa walka na dwóch przeciwległych kończynach islamizmu azyatyckiego z chrześcijaństwem europejskiem: w Palestynie i na kresach wschodnich z Tatarstwem i Turkami, i w Hiszpanii z Arabami.

Wieki upłynęły na tych zapasach śmiertelnych o wiarę, o mienie, o byt; a w przeciągu tych wieków zajaśniał krzyż znowu na grobie Chrystusowym i rozpostarł z Golgoty ramiona nad kolebką chrześcijaństwa, ale wkrótce znowu został strąconym. Zwycięski islamizm znieważył świętokracką ręką nie tylko najświętsze chrześcianom miejsca i pamiątki w ziemi odkupienia, lecz nadto obalił ową pogrobową resztkę starożytnego cesarstwa rzymskiego, zdobył Konstantynopol i na przesławnej świątyni Justyniana, którą dumny jej założyciel chciał przewyższyć Salomona, zatknął półksiężyc Muhameda. Wschodnie księstwa moskiewskie i ruskie uderzyły czołem przed złotym chanem hord tatarskich, które rozpuszczały swoje zagony aż poza Wisłę, a w pierwszym najgwałtowniejszem wezbraniu wylały się były nawet aż za Karpaty. Chrześcijańska Europa poniosła więc ciężkie klęski materialne na całej linii bojowej od wschodu, których, zdawało się, że nie mogło zrównoważyć wyparcie Arabów z Sycylii i Hiszpanii.

Ale wszystkie te straty zostały zrównoważone, owszem przeważone stokrotnie nabytkami moralnemi, które w niedalekiej przyszłości miały przynieść Europie nieznaną jej dotąd korzyść materialną.

Nie zdołano wprawdzie wyswobodzić grobu Zbawiciela z rąk niewiernych, ale jakoby cudem Bożym spłynęły od tego grobu w nagrodę jego obrońcom zbawienne prawdziwie źródła łask, wyższych nad pospolite ziemskie zyski. Jak stał w ogniu, tak społeczność europejska za-

hartowała się w tych wiekowych zapasach, spotężniała duchowo i fizycznie. Ciasny dotąd bardzo zakres jej pojęć przez zetknięcie się bezpośrednio z zabytkami starożytnej, a tak różnej od europejskiej kultury Orientu, przez stosunki z Arabami, którzy chwilowo zajaśnili meteorycznym światłem na polu nauk ścisłych, rozszerzył się nieporównanie i rozbudził żądzę badań i dociekań samoistnych na wszystkich polach wiedzy ludzkiej; ruch handlowy i przemysłowy ożywił się, rozwinął i dźwignął zamożność i potęgę miast i znaczenie ludności miejskiej, podczas kiedy zapał religijny, zażywiany niezmordowanie przez kościoł, zagrzewał serca do poświęceń bez granic, potęgował odwagę do przedsięwzięć zdumiewających awanturniczą śmiałością, nastrojał umysły do nieznanego wiekom starożytnym wysokości, kwitł w rycerstwie, stwarzał nowożytną chrześcijańską poezją pełną bohaterstwa, miłości i ideału, wcielał się w natchnione dzieła sztuki malarskiej i budował sobie ciosem wiecznotrwałe pomniki w ostrołukich, w niebo strzelających tumach gotyckich.

Zniedołężniałe, szarpane wewnętrznymi zaburzeniami, węgietujące już tylko bez warunków przyszłości cesarstwo greckie zajęli wprawdzie Turcy, ale upadek Konstantynopola, tego ostatniego w prostej linii spadkobiercy cywilizacji starożytnych Hellenów, oddał puściznę duchową po nich na własność publiczną całej Europie, a oddał ją właśnie wtedy, kiedy społeczność europejska dorosła już była do jej przyjęcia, ocenienia i dalszego rozwijania. Zbiegli z Konstantynopola uczeni greccy znaleźli gościnne schronienie na dworach i po akademiach włoskich, odkryli tam nieprzebrane skarby poezyi i nauki helleńskiej, które ztamtąd przy pomocy właśnie kilkanaście lat wcześniej odkrytej sztuki drukarskiej, rozlały się szybko po całej Europie zachodniej, rozniecając powszędy światło i odsłaniając nieskończone bogactwo nowych praw i prawd, kryjących się dotąd w pomroce niewiadomości.

Wschodnie kresy Europy, wschodnie i południowe wybrzeża morza Śroziemnego opanowała wprawdzie Azja, ale właśnie to odcięcie od wschodu przyczyniło się w części do wykroczenia Europy z jej granic zachodnich, do wstąpienia na drogę, którą wskazuje pozorny bieg słońca, którą ciągną instynktowo wędrownie zwierzęta, którą płużyły od niepamiętnych czasów bezwiednie wszystkie konowicze ludy — na drogę jej przeznaczenia.

Przeszedłszy przez tyle różnych stopni rozwoju, wypróbowały swoje siły w tyłu zapasach, dojrzała Europa do rozpoczęcia twórczej kolonizacji, do rozsiania wypielegnowanych na swoim łonie ziarn po całym świecie. Dla tych ludzi, którzy z zuchwałością Tytanów przekraczali granice tradycyjnej wiedzy, wylamując się ze wszystkich pęt krępujących swobodny i samoistny rozwój ducha, którzy obalając wszystkie powagi, nie wzdrygali się podnosić rokoszu nawet przeciw najwyższej powadze kościoła



i chcieli sięgać rozumem, gdzie rozum nie sięga — za ciasną stała się Europa, za ciasnem morze Śródziemne. Im trzeba było niezmiernego, nieznanego oceanu! Na ocean tedy rzuciła się zuchwale odparta od wschodu Europa piętnastego wieku, aby mu wydrzeć kryjące się w jego nieprzejrzaney dali tajemnice bryły ziemskiej.

Popęd do wielkich podróży po oceanie dany był oczywiście przez ten półwysep pirenejski, który ze wszystkich części stałego lądu Europy najbardziej jest oceanicznym, i którego przylądki i wybrzeża najdalej na Atlantyk są wysunięte. W ośmiowiekowej walce z Arabami, zakończonej stanowczem zwycięstwem, zahartowała się ludność tego półwyspu, nabyła dumnego poczucia sił swoich i śmiałej przedsiębiorczości, potęgowanej zapalem religijnym nawracania niewiernych i zdobywania coraz rozleglejszych ziem wierze chrześcijańskiej, który płonął tu jeszcze dawnym ogniem krucyat, podczas gdy w głębi kontynentu ostygł był już prawie zupełnie. Uniesiona tym zapalem dała pierwszy przykład mała Portugalia, która ścigając wrogów wypartych z swoich granic do Afryki, zdobyła Ceutę i poczęła odkrywać i osiedlać swojemi koloniami atlantyckie wybrzeża tego kontynentu, od archipelagu Azorskiego i Kanaryjskiego, aż do dolnej Gwinei po drugiej stronie równika. Nadspodziewane powodzenie Portugalczyków, przekroczenie równika, który zabobonność wieków średnich poczytywała za granicę nie do przebycia, a bardziej jeszcze odkrycie złotodajnych krajów, zachęcały do współzawodnictwa chciwe zysków kupieckie rzeczypospolite włoskie i upojoną odniesionem właśnie nad Maurami ostatecznem zwycięstwem Hiszpanią do coraz odleglejszych i śmielszych wypraw, i zrodziło myśl szukania nowej morskiej drogi do wschodniej Azji i bogatych Indyj, która teraz tem była potrzebniejszą, że zagnieżdzenie się Turków w Grecyi, a Tatarów nad morzem Czarnem, zamknęło starodawne szlaki lewentyńskie i utrudniało wielce stosunki handlowe zachodu ze wschodem. Podczas kiedy Portugalia, odkrywszy przez Diaza przylądek Dobrej nadziei, rzuciła się do szukania tej nowej drogi w kierunku południowym, począł się w genialnym umyśle Krzystofa Kolumba, Włocha z Genui, zuchwały plan dotarcia do tego samego celu drogą zachodnią przez Atlantyk, opływając dokoła glob ziemski. Wskazówki w dziełach Alberta Wielkiego, Roberta Bacona i kard. Piotra ab Alliaco, jak również wpływ Toscanellego i Marcina Behaima dały początek temu planowi, a Hiszpania przysłała w pomoc jego wykonaniu.

W tym samym ostatnim dziesiątku lat wieku piętnastego, kiedy zdobyta została Granada, ostatnia posiadłość Arabów w Europie, i na Alhambrze zajaśniał krzyż; kiedy cesarz Maxymilian, ostatni rycerz, na sejmie w Wormacyi zniósł uroczyste rycerstwo, któremu wynalezienie prochu i sprowadzony tem odmienny sposób wo-

jowania stanowczy cios zadały; kiedy Bajardo spiewał pieśń pogrzebową temuż rycerstwu, a z niem razem i czasom, które je wydały, uniesmiertelniając w poezyi, co ginęło w życiu; kiedy Lionardo da Vinci i młody współzawodnik jego, Michał Anioł, podnosili wszechstronnym geniuszem swoim sztukę do niedoścignionych wyżyn ideału; kiedy ośmnastoletni Kopernik uczył się w Krakowie u Brudzewskiego astronomii, aby wkrótce nowy system świata stworzyć, wstrzymać słońce, a ruszyć z posad bryłę ziemi — w tym samym dziesiątku lat odkrył Kolumb na swojej drodze do Indyj nowy kontynent, Amerykę, i na wyspie st. Salvador rozwinął hiszpańską chorągiew z krzyżem (w październiku 1492 r.), a Vasco da Gama opłynął południowy przylądek Afryki i wywiesił w przystani Kalkuty flagę portugalską (w maju 1498 r.)

Już pięć wieków wcześniej, nim zachodnio-południowa Europa odważyła się przekroczyć granice znanego starożytnym świata, przemierzyli byli całą północną szerokość Atlantyku skandynawscy Normanowie z Islandyi. Owe stacje atlantyckie pomiędzy starym a nowym światem, Szetlandy, Faröer i Islandya, zaprowadziły do Grenlandyi i na wybrzeża północnej Ameryki, w okolice dzisiejszego Nowego Jorku, tych zuchwałych korsarzy północnych, wyganianych mrozem i głodem z nieurodzajnej ich ojczyzny na awanturnicze wyprawy w świat daleki. Ale odkrycie to Normanów, jak płód przedwczesny, zmarniało bezowocnie i przebrzmiało w sagach skandynawskich i islandzkich, z których wydobyły je i stwierdziły dopiero studia nowożytnych badaczy.

Jakoż dopiero odtąd wszedł stary świat w nieprzerwane stosunki z powtórnie odkrytą Ameryką, i na całym Atlantyku, który teraz z rozgraniczenia stał się łącznikiem dwóch odwrotnych połów globu, rozwinął się niewidziany dotąd ruch handlowy i kolonizacyjny, w którym Hiszpania i Portugalia znalazły wkrótce ruchliwych i niebezpiecznych współzawodników w Holendrach, Anglikach i Francuzach. We wszystkich przystaniach zachodniej Europy, jak stado wędrownych ptaków zrywających się do odlotu, rozwijały co chwila żagle nowe flotyle do dalekich podróży zaatlantyckich, i wobec niezmiernych obszarów, które teraz odsłaniały się przed okiem zdumionych Europejczyków, wzrastając z bezprzykładną szybkością, niknął ten ciasny obręb ziem, który starożytni światem nazywali. Jeżeli wieków na to było potrzeba, aby Rzymianie poznali kraje od Alp aż po morze Północne, jeżeli znowu wieki upłynęły, nim Portugalczycy odkryli, leżące w obliczu ich półwyspu Azory, to terazniejszej namiętnej, nienasyconej żądzy odkryć coraz nowych, a coraz bogatszych, nie potrzeba było nawet trzydziestu lat, aby opłynąć atlantyckie wybrzeża Ameryki, od Labradoru aż do skalistej Patagonii.

Huk dział europejskich, rozlegający się echem po dziesięciu wiekach nowego świata, zapowiadał mu nową



epokę jego bytu. Zadrzała ziemia amerykańska pod kopytami nieznanymi jej rumaków europejskich, rozpierzchnęła się przelekniona jej ludność, połały się krwi strumienie, aby utorować drogę wierze i cywilizacji europejskiej, i rozpoczęła się nowa historia Ameryki i Europy w Ameryce, a rozpoczęła się barbarzyńskim niszczeniem, jak każda nowa era w historii się rozpoczyna.

Ale zapisująca płomiennymi głoskami pierwsze karty tych nowych dziejów społeczność europejska, nie wiedziała jeszcze, że rozpoczyna gospodarstwo na nowym kontynencie. Dumni powodzeniem odkrywcy europejscy, poczytując wschodnie wybrzeża Ameryki za wschodnie kresy Azji, archipelagi antylski i lukajski za wielowyspia Zipaugu i Jipen, o których już Marek Polo, podróżnik z trzynastego wieku, cuda prawił — myśleli bowiem, że okrążyli już cały glob i związali oba końce zamieszkaną ziemi. Rozogniona niewidzianą dotąd krasą i bujnością flory, nieznanem bogactwem w złocie, marzyła już wyobraźnia owoczesnej Europy o odszukaniu w nowym świecie biblijnego raju, który zabobonna wiara wieków średnich kędyś na krańcach Indyi mieściła, a Ponce de Leon kosztował wszystkich wód wysp Bahama, żeby znaleźć odmładzające źródło, które z tego rokosznego przybytku pierwszych rodziców naszych wypływać miało. Szukanego źródła oczywiście nie znalazł, ale zato znalazł kwiecistą Florydę i związał przez nią odkrycia porobione w północnej Ameryce z poczynionymi w południowej jej połowie.

Wkrótce też rozprysło się złudzenie, ustępując miejsca cudowniejszej nad wszelkie złudzenia rzeczywistości.

Gnany chucią złota, przedzierał się Balboa przez skaliste wąwozy Panamy. Leonidas amerykański, Torecha, zamykał mu drogę ze swoimi Indyanami, spiekota podrównikowa paliła, burze obalały, wody zatapiały, ale przeznaczenie się spełniło — Balboa przebił się krwawą drogą na zachodni kraniec wyżyny i ujrzał przed sobą niezmierny obszar wody, której fale olbrzymie rozbijały się o przylądki Peru i Meksyku. Nowy ocean, zlewający się sinym rąbkiem z ciemnym lazurem tropikowego nieba, ocean, wobec którego Atlantyk zmalał do śródziemnego morza, cały nowy świat wody, w którym tonęło zachodzące słońce, przedzielał więc jeszcze Europejczyków od tej Azji, w której posiadaniu oni się już być mniemali. Jakoby na głos wszechmocnego słowa: stań się! — rozrosła się nagle ziemia, którą deptali, poczytując ją za archipelagi i wybrzeża azyatyckie, w kontynent osobny, nieprzeczuwany nawet, i glob cały podwoił swoje objętość. Oslupiały z podziwu, zatwardziały w podróżach i bojach Hiszpan, wypuścił krwawy miecz z ręki, korząc się w prochu na kolanach przed wszechpotęgą Boga, którego niepojęta wielkość zajaśniała olśniewającym blaskiem w wielkości stworzonej Jego słowem bryły ziemskiej,

tego ziarnka piasku w ogromie wszechświata, które w całej rozległości swojej rozwinęło się wtedy poraz pierwszy przed okiem człowieka.

Z podwojoną siłą zabrzmiało więc hasło: dalej na zachód, na nowy nieznaną ocean i przez jego nieprzejrzaną tonię do Azji, do tych krain jedwabiu i pereł, drogich kamieni i kadzideł, korzeni i bakaliów, do tej kolebki rodu ludzkiego, którą społeczeństwo europejskie, jak każdy człowiek w późniejszym wieku swoją kolebkę, owiało srebrną mgłą podań, ustroiło gwiazdami i niezabudkami najcudowniejszych mitów.

Podczas kiedy burząc zabytki starożytnej kultury amerykańskiej, broczył się Cortez we krwi meksykańskich Azteków, a Pizarro wybierał się peruańskich mordować Inkasów, wypłynął Magelhaens z portu st. Lucar w Hiszpanii szukać drogi do tego nowego oceanu. W październiku r. 1520, przebywszy cieśninę nazwaną jego imieniem, dobił się Magelhaens do przylądka Desiderado. Bramy pomiędzy wschodnią a zachodnią półkulą zostały zdobyte! Ocean, którego dziewiczych fal dotąd żaden statek nie pruł, zdumiał się nad zuchwalstwem tego wychowanka drobnej Europy, co w kruchych łupinach drewnianych odważał się puszczać na jego bezbrzeżną pustynię wodną, i ze zdumienia w niemym spokoju uścielił się pod stopy zwycięzcy, który na wieczną pamięć swojego tryumfu nazwał go oceanem Spokojnym.

Po 1120 dniach żeglugi, opłynawszy dokoła całą ziemię, powrócił do Europy ostatni z pięciu statków Magelhaensa. Sam przywódzca poległ na jednej z wysp Filipińskich, ale szczęśliwszy towarzysz jego, Pigaffeta, ogłosił opis tej pierwszej podróży naokoło świata, która jest zarazem pierwszym faktem, rozpoczynającym w istotnym tego słowa znaczeniu dzieje powszechne całej ziemi i zamieszkującego ją rodu ludzkiego.

Z ciasnych obrębów różnych światów historycznych wyprowadziła Europa dzieje swojemi odkryciami XV. i XVI. wieku na szeroką arenę, której już nie oręż, nie mniej lub więcej rozległa wiedza ludzka, ale sam Bóg zakreślił granice. Odtąd poczyna historia przez Europę ogarniać cały glob ziemski, od bieguna do bieguna, i zestrzela w sobie promienie rozwoju wszystkich jego kontynentów i wszystkich ludów.

Wypadki tak wielkiej wagi, rozszerzające nagle tak bardzo widnokrąg człowieka, nie mogły też oczywiście nie oddziaływać potężnie i na samą Europę, która je wydała, na wszystkie jej stosunki społeczne i państwowe, na wszystkie kierunki jej rozwoju. Gruba mgła zabobonów, przesądów i uprzedzeń, które ciemnota wieków średnich dla nadania im nietykalnej powagi tysiącami niemi z religią powiązała, rozwiana została odrazu tem nagłym rozszerzeniem się widnokręgu materialnego, za którym poszło w koniecznym następstwie również szybkie rozprze-



strzenie się widnokregu ducha. Co wieki całe stało niezwruszone, jakoby granitowe filary, podtrzymując mierzalnie zbudowane stropy scholastycznej mądrości średniowiecznej Europy, to wszystko pryskało teraz jak zeschnięte trzciny pod gwałtownem tchnieniem nowych prądów, które poczęły miotać społeczeństwem europejskim. Nadeszły czasy rewolucyjnych protestów przeciwko wszystkiemu, co dotąd miano za nieomyłne i święte, czasy wielkich przewrotów w dziedzinie ducha, a następnie i w życiu politycznym narodów.

Już odrodzenie się studyów klasycznych, sprowadzone zajęciem Konstantynopola przez Turków, zatrzęsło mistycznym gmachem filozofii scholastycznej. Był to pierwszy protest przeciwko powagom naukowym, uświęconym wiekowem poszanowaniem, protest umarłych, którzy wstali z grobu, aby zadać kłam sądom i wyrokom żyjących pokoleń. Odkrycia Kolumba i Magelhaensa i liczne szeregi współczesnych im podróżników, obaliły jednym zamachem wszystkie naiwne wyobrażenia o kształcie ziemi, które się wylęły z dziecinnego tłómaczenia poetycznych przenośni pisma świętego. Co dotąd tylko najśmielsze i najpodniosłejsze duchy ledwie przypuszczają się odważać, idąc za wskazówkami starożytnych, stało się teraz prawdą namacalną. Był to drugi protest, protest nauki ścisłej, na niezbitem doświadczeniu opartej, przeciwko wszelkim wymarżonym systemom niby naukowym. Nakoniec wystąpił Mikołaj Kopernik, i druzgocąc wszystkie dawniejsze teorie o budowie wszechświata, od Ptolomeusza począwszy, wyparł ziemię z centrum planetarnego systemu, odkrył światom niebieskim nowy punkt środkowy i puścił ją wraz z gromadą innych planet w ruch wirowy i postępowy wokół słońca.

Ale jakoby w tajemniczym związku z tem wzruszeniem bryły ziemskiej z jej odwiecznych posad, jakoby za karę zuchwałej Europie, że odważyła się zedrzyć zasłony, któremi przez wieki okrywał Stwórca tajemnice przyrody przed ciekawem okiem człowieka, wzruszyły się moralne i materyalne centra jej społecznego porządku, około których grupowały się i krążyły jej narody, i Europa rozerwana pomiędzy morzem Śródziemnem, które traciło dawne swoje powszechnodziejowe znaczenie, a Atlantyk, na którym poczynają się teraz rozstrzygać losy świata, porwana została wirowym prądem namiętnej żądzy obalania starych zasad, a szukania sobie nowych praw i nowych punktów ciężkości. Marcin Luter, na czele całej rzeszy reformatorów, reasumując wszystkie głosy opozycji od czasów Arnolda z Brescii aż do czasów Hussa i Savonaroli, założył protest przeciwko najwyższej powadze papieża i kościoła, i zachwiał stanowczo to główne centrum jedności dotychczasowych dziejów Europy. Podczas kiedy szalony Karlstadt targał się świętokradzką ręką na ołtarze, protestował zapamiętały Münzer z chłopami Turyngii przeciwko prerogatywom panów, a opętani

prorocy monasterscy przeciwko zdrowemu rozumowi; miasta protestowały przeciwko przywilejom książąt, a książęta z Francją i Szwecją przeciwko najwyższej władzy świeckiej cesarza rzymsko-niemieckiego, tej drugiej osi dziejów średniowiecznej Europy; protestowały Niderlandy przeciwko zwierzchnictwu Hiszpanii, a Hiszpania przeciwko niepodległości Portugalii; Elżbieta angielska przeciwko Maryi szkockiej i Irlandyi, Kromwel przeciwko Stuartom, Stuarty przeciwko Wilhelmowi III., Habsburgi przeciwko Jagiellonom w Węgrzech i w Czechach, a Burbonom w Hiszpanii; Wazowie polscy przeciwko Wazom szwedzkim, Moskwa przeciwko Polsce, Kozactwo przeciwko Polsce, Kozactwo przeciwko szlachcie, kiełkujące idee republikańskie przeciwko zasadom monarchicznym, protestanci i szyzmatycy przeciwko katolikom, a muhamedańska Turcja, usadowiona na południowo-wschodnim progu Europy, z dzikiem Tatarstwem w odwodzie przeciwko całemu chrześcijaństwu europejskiemu. Z chaosu tych protestów wszystkich, przeciwko wszystkiemu, rozpasął się krwawy szereg długich wojen, po których pozostała Europa jak łódź bez sternika, i ster jej począł odtąd przechodzić z rąk do rąk; jak czyja ręka silniejsza i jak komu szczęście dopisze. Dawna jedność dziejowego jej żywota, który w najrozmaitszych fazach jego rozwoju przenikały zawsze dwie przeważne potęgi, papieństwo i cesarstwo, została zerwaną i rozpięchłą się w sprzeczne kierunki dążności poszczególnych państw i narodów, nad którymi wzbily się do pierwszorzędgo do ostatnich czasów znaczenia Francja i Anglia, położone na atlantyckim krawędziu Europy, gdy przeciwnie Hiszpania utopiła rychło swoją potęgę moralną i materyalną w potopie złota amerykańskiego i spaliła ją w ogniu despotyzmu Filipa II. i świętej inkwizycji.

Na Francją też i na Anglią przeszło teraz przodownictwo w wielkim ruchu podróżniczym i kolonizacyjnym, który wywołały w początku tej nowej epoki Portugalia i Hiszpania. Podczas owych zawichrzeń, podczas owego szukania równowagi i nowych punktów grawitacyjnych w miejsce zachwianych dawnych, których dotąd doszukać się nie może, nie przestała bowiem Europa, posłuszna swojemu przeznaczeniu, rozpościerać się coraz szerzej po wszystkich częściach świata, zasilać coraz nowym napływem osadników odkrytych ziem, których liczba i obszar coraz wzrastały. Owszem to rozpięchnięcie się jej wewnętrzne przychodziło w pomoc coraz większemu rozpięchaniu się jej na zewnątrz, wyganiając z ojczyzny całe rzesze ludności, poróżnionej z porządkiem rzeczy, który na dłuższy lub krótszy czas zdobywał sobie panowanie. Tak prześladowanie Hugenotów dostarczyło Florydzie pierwszych osadników z Francji, a krwawe walki stronniactw za rządów Stuartów położyły podstawę do rozrostu kolonij angielskich w północnej Ameryce.



Z doskonaleniem się sztuki żeglarskiej i postępem oświaty rozwijał się zapał do odkryć tem wszechstronniej, i z celami materyalnych jedynie korzyści począł łączyć nierównie wznioślejsze cele czysto naukowe. Jeżeli Hiszpanie, straciwszy rychło z oczów tę podniosłą dążność naukową i apostolską, jaka opromienia Kolumba, szukali jedynie min złotych, kalając się najnikczemniejszą chciwością, to terażniejszych odkrywców gnała szlachetna żądza wiedzy i w takie strony, które ich trudom jedynie naukowemi obiecywały wypłacić się zdobyczami.

Dzięki niezmordowanej pracy tych pionierów nauki i cywilizacyi, przedarła się Europa na lodowate morza arktyczne, otworzyła sobie morskie drogi pomiędzy Azyą, Ameryką, Grenlandyą i północno-amerykańskim archipelagiem, rozpoznała dokładnie wybrzeża zachodnie Ameryki, a południowe i wschodnie Afryki i Azji z jej olbrzymiami wielowyspiami, i wydobyła z toni południowego oceanu przeliczne gromady rajskich wysp. Aż wkońcu w drugiej połowie XVIII. w. wystąpił trzeci po Kolumbie i Magelhaensie olbrzym w historii odkryć geograficznych, Jakób Cook, który w przeciągu dziesięciu lat zrobił więcej, niż jego poprzednicy przez półtrzecia wieku, uzupełnił wszechstronnie ich odkrycia morskie, odsłonił groźne oblicze antarktycznego oceanu, i wydobył ostatecznie na jaw piąty kontynent, Australią, której wybrzeża już od 150 lat nie powiązanemi w jedną całość kawałkami się wynurzały.

Po Cooku pozostały jego następcom, wyjąwszy lodowe pustynie podbiegunowe, już tylko środkowe obszary kontynentów do odkrycia, do wprowadzenia w związku z Europą i poddania jej władaniu. W dopełnieniu tej drugiej części powszechnodziejowego zadania Europy dopomagały jej dzielnie pozakładane tymczasem po wybrzeżach nowoodkrytych ziem przeliczne kolonie, które orężem i pługiem, ogniem i siekierą, wyprawami łowieckimi i handlowemi, expedycjami naukowemi i misjami apostolskimi torowały w głąb nieznanych krajów drogę wierze i cywilizacyi europejskiej.

Podczas gdy tak Ameryka niezwykłą wytrzymałością osadników europejskich z Hiszpanii, Portugalii, Francji i Anglii, albo tracąc zupełnie swoje pierwotną ludność, która padała ofiarą nowego porządku rzeczy, albo przez mieszanie się jej z napływem europejskim nowe wyrabiając sobie narody, coraz bardziej europejskie przybierała cechy i pod opieką Europy do rozpoczęcia samoistnego bytu dziejowego dojrzywała, rozpościerali tymczasem Holendrzy panowanie Europy wzdłuż całych południowych wybrzeży starego świata, od przylądka Dobrej nadziei do indyjskiego archipelagu i Nowej Gwinei. Chiny i Japonia otworzyły swoje porty statkom europejskim, a misye jezuitckie poczęły w tych niedostępnych krajach jednać nowych wyznawców wierze europejskiej i opro-

mieniać świeżą aureolą męczeństwa ten kościół, którego absolutne niegdyś władanie w Europie zostało zachwiane.

Kolonizacyjną pracę Holendrów w tych stronach uzupełnili ruchliwsi od nich Anglicy, którzy przez założoną w r. 1600 kompanią handlową wschodnio-indyjską z Kalkuty, Madras i Bombaju poddali całe Indye pod bezpośrednie lub pośrednie panowanie swoje, skolonizowali następnie Australią, wyparli ociężałych współzawodników swoich z południowego przylądka Afryki, i łańcuchem kolonij swoich związali dawne osady Portugalczyków w Senegambii i na wybrzeżu Mozambique z koloniami nowego świata.

Ale podczas kiedy tak cały zachód, cały świat nowy, przetwarzał się pod wpływem Europy, kiedy odległy wschód starego świata otwierał bramy jej cywilizacyi i bliższe zawiązywał z nią stosunki, kiedy kolebkę plemienia indoeuropejskiego, rozbujałe w tropikowem słońcu Indye, zdobywali potomkowie wyszłych ztamtąd przez tysiącami lat pokoleń aryjskich, pozostawały jeszcze ciągle sąsiednie Europie bezpośrednio krainy wschodnie obszarem niedostępnym i nieznanym.

U wstępu do tych krain, które tylokrotnie niszczacami na Europę hordami barbarzyńców zionęły, rozłożyła się bowiem podbójca Turcyja i rozwścieklona duchem zniszczenia Tatarszczyzna, nie przestając ciągle jeszcze grozić Europie, kiedy już całe światy były przed nią czołem. Toż na straży jej zagrożonych granic postawiła tu Opatrzność Polskę, która obdarzywszy i poruszywszy świat Kopernikiem, poświęciła się cała rycerskiej służbie kresowej w obronie wiary i cywilizacyi europejskiej. Pośredni tylko i bierny biorąc udział w tych wielkich przeobrażeniach, których Europa zachodnia u siebie i daleko poza granicami swemi dokonywała, nie baczna nawet na to, że własna jej zagroda nieładem do upadku się pochyla, jak żołnierz stojący obozem w obliczu nieprzyjaciela, zlewała ona setne pola bitew od Worskli, Warny, Kleska, Cecory i Chocima, aż po Mohacz, Wiedeń i Parkany krwią swoją i zaścielała trupami swych synów, aby bezpieczna za murem jej piersi mogła Europa dopełniać swego przeznaczenia.

A kiedy Europa i Polska dopełniły swojego przeznaczenia, kazała Opatrzność zmienić Polsce rolę. Ofiarą zachwianych podstaw moralnych w polityce Europy, skutkiem czego słabszy stawał się pastwą mocniejszego, dlatego tylko, że słabszy, upadła Polska, aby rozkołatana już i tak jedność i równowagę w roisku ludów europejskich jeszcze bardziej rozkołatać i przyspieszyć kiedyś wielką katastrofę. Rosya, spotężniała i wprowadzona w poczet państw europejskich dopiero zabranym na niej łupem, zebrała owoce jej wiekowej krwawej pracy, zdławiła do reszty podrąbane orężem polskim pogaństwo europejskie, zniosła Tatarszczyznę, ubezwładniła znękaną Turcyją i



otworzyła Europie lądową drogę na wschód, która od pięciu wieków była jej zamkniętą.

Już dwa wieki przed tym nowym zwrotem w historii rozpromieniania się Europy po wszystkich morzach i lądach ziemi zajaśniał na tatarskim Kazaniu krzyż, a we dwadzieścia kilka lat potem zdobyła horda zbuntowanych Kozaków pod Jermakiem Tymofiejewem zachodnią Syberję Iwanowi II. Tą samą bramą narodów pomiędzy Uralem a Kaspikiem, którą niegdyś Azja zalewała Europę, poczęła więc teraz Europa szerzyć nad nią swoje władanie, i rozszerzyła je hordami żołdaków moskiewskich i gromadami nieszczęśliwych wygnańców, katorżników i posileńców polskich, którzy poszli teraz na tych nowych kresach Europy apostołować jej wierze i cywilizacji, aż po pustynie Turanu, po Altaj, Amur i Kamczatkę, podając rękę w jednej stronie przez cieśninę Behringa, Aleuty i

Aljaszkę potomkom osadników swoich w Ameryce północnej, a w drugiej przez Chiwę i Bocharę i przez stażony szlak indyjski Alexandra W. koloniom angielskim w Hindostanie.

Tak w końcu ścisnęła Europa w objęciach swoich cały glob ziemski, obejmując go od końca do końca dwoma ramionami, oceanicznym i lądowym. Powszedy rozprzecznyły się wychowane w jej szkole ludy, rozniosły jej wiarę i cywilizację, jej języki i zwyczaje, i wiążąc kolejami oceany rozgrodzone całą szerokością kontynentów, łącząc telegrafami kraje rozdzielone nieprzeżranym obszarem oceanu, rozcinając kanałami zrosnięte lądy, zbliżyły ku sobie najodleglejsze strony świata, wprowadziły je w prąd powszechnodziejowego rozwoju całego rodu ludzkiego i zestrzeliły wszystkie promienie tegoż rozwoju w Europie, jakoby w ognisku soczewki.

## POJEDYNEK AMERYKAŃSKI.

(DOKOŃCZENIE)

### XIII.

Następnego dnia po południu pani Rolicka siedziała w salonie z Kornelem. Nie było nikogo więcej, łatwo się więc domyśleć, że Kornel mówił jej o swojej miłości, ale nie łatwo było opisać, z jakim mówił namaszczeniem i zapalem.

Wanda słuchała jego słów z większem niż kiedykolwiek upodobaniem.

Kornel potępiony zaocznie przez jej męża i przez sędzię, potępiony, jak sądziła, niesłusznie, nabierał w jej oczach jakiegoś męczenniczego uroku. Wyraz jego twarzy, nacechowany boleścią, która chwilowo zdawała się bliską wybuchnięcia w rozpacz, chwilami w łagodną zamieniała się melancholią, wyraz ten stawał się dla niej tem więcej prawdziwym i tem więcej wymownym.

W słowa jego wsłuchiwała się z większą jeszcze niż zazwyczaj uwagą, starając się znaleźć chociaż jedno, któreby mogło uzasadnić zarzuty, jakie przeciw niemu miotano, i nie znajdowała żadnego. Dźwięczały one w jej uchu, niby jakaś upajająca muzyka.

Kornel zbliżył się do niej i ukląkł przed nią, jej ręka zabłąkała się w jego włosach...

W tej chwili w sąsiednim pokoju dały się słyszeć kroki, i wszedł gość wcale o tej porze niespodziewany — Witold.

Kornel zaledwie miał czas zerwać się przed jego przyjściem. Witold mógł go nie widzieć, a może spostrzegł.

Wszedł, stanął w bliskości progu i przez długą chwilę patrzył milcząc na nich oboje.

Widział czy nie widział, było zagadką.

Kornel zbladł, z ust Wandy krew odbiegła.

Milczeli.

Milczenie to, trwające zaledwie sekund parę, wydało im się przerażająco długiem. Twarz Witolda była blada i poważna, w oku jego tlał jakiś złowrózby płomień.

— Panie Kornelu Łoński — rzekł nareszcie, powoli, jakby z trudnością — pojmujesz pan teraz, że...

Przerwał na chwilę, widocznie głosu mu zabrakło.

— Pojmujesz pan, że... zagramy z sobą partją szachów.

Kornel i Wanda nie dowierzali swoim uszom. On stał milczący i nieporuszony, ona nieruchomym wzrokiem patrzyła w oczy męża.

Patrzyła śmiało, zuchwale prawie, a patrzeć tak mogła dlatego, że jej sumienie mówiło, iż chociaż stała blisko krawędzi przepaści, przecież w tę przepaść ani myślą nawet nie wpadła.

— Czy chcesz pan ze mną zagrać partją szachów? — powtórzył Witold tym samym poważnym i drżącym nieco głosem.

W Kornela zaczynała wstępować otucha. Grywał on nieraz w szachy z Witoldem i wiedział, że mąż Wandy, lubiący tę grę i dość w niej biegły, lubił z nim grać, jako z przeciwnikiem równej siły. Oswajał się z myślą, że



obawa jego była płonna, że Witold nic nie widział, że nie przyszedł po nic więcej, tylko na szachy. Nie śmiał jeszcze zaufać tej myśli zupełnie, ale ona dodała mu siły do odpowiedzenia:

— Chętnie, panie.

— A więc proszę... przysuniemy tutaj stół do szachów.. pani — dodał gięstem wskazując na Wandę — będzie świadkiem i sędzią naszej gry...

— Wolałabym — szepnęła Wanda.

— Chcę tego — odpowiedział stanowczo mąż.

Wanda zlekka skłoniła głowę i pozostała na miejscu.

Kornel ustawiał na szachownicy figury, które prawie co chwila wypadły mu z rąk. Nie byłby skończył, gdyby mu Witold nie dopomógł.

— Nie będziemy dziś grać tak jak zwykle, o nic — rzekł po ustawieniu figur mąż Wandy — pojmujesz pan, że dziś idzie o stawkę, o grubą stawkę. Dajemy sobie słowo, że przegrany spełni natychmiast to, co mu wygrywający rozkaże, natychmiast i bezwarunkowo, bez względu na bezpieczeństwo swojej osoby, bez względu na nic...

Przerażenia Kornela odmalować niepodobna. Nie było już wątpliwości, że Witold widział wszystko, a domyśleć się było można, iż przypuszczał więcej niż było.

Wanda zamieniona w posąg była niemym świadkiem tej sceny.

— Ależ panie, to będzie — odważył się powiedzieć drżącym głosem Kornel.

— To będzie partya szachów, panie — przerwał mu Witold.

— Na takie warunki... niepodobna przystawać...

— Przystaniesz pan... ja tak chcę!

Niezwalczona jakaś potęga dźwięczała w uroczystym głosie Witolda.

Kornel milczał.

— Zatem dajesz pan słowo?..

— Daje...

— Powtórz pan warunek.

Kornel powtórzył zobowiązanie i stwierdził je słowem powtórnie.

— I ja także — rzekł Witold — daję słowo, że jeżeli przegram, spełnię rozkaz, jaki mi pan wydasz, bezwarunkowo, choćbyś mi kazał napić się trucizny... Pani jest świadkiem.

— Mężu! — zawołała z przerażeniem Wanda.

— Przy takiej grze świadkowie i grający milczą — przerwał mąż, gięstem nakazując jej milczenie — stawka jest za nadto ważną... Siadajmy.

Wanda była posłuszną. W salonie zapanowała cisza grobowa.

Usiedli i rozpoczęli grę, która dla każdego z nich dwóch mogła lub miała być ostatnią w życiu.

Witold był poważny, panujący nad sobą, niezachwiany; twarz Kornela przechodziła wszystkie kolory tęczy, a oko jego wpatrywało się w szachownicę, na której zaledwie mógł rozróżnić porozstawiane figury.

W losowaniu o pierwsze posunięcie los sprzyjał Witoldowi.

Zapewne w dziejach gry szachowej mało się znajdzie partyj granych o podobną stawkę, ta więc zasługuje na szczegółowe opisanie.

Witold rozpoczął partya zwykłą, wychodząc pionkiem od króla na środek szachownicy. Kornel odpowiedział takim samym posunięciem.

Mąż Wandy wysunął następnie laufra królewskiego o cztery pola, Kornel uczynił tak samo, i w ten sam sposób odpowiedział na trzecie posunięcie Witolda, który wyprowadził królowę na linię królewskiego laufra.

Zdawało się, że Kornel w przerażeniu machinalnie powtarza poruszenia przeciwnika, trzecie jednak jego posunięcie było jednym z bardzo niewielu, które w takim położeniu zrobić można dla zasłonięcia się od natychmiastowego mata. Są pomiędzy nimi lepsze, ale i to nie jest złe.

Wtedy Witold posunął o jedno pole pionka królowej.

Kornel miał czas oprzytomnić nieco, opamiętać się, i zrozumieć, że jedyną nadzieją pomyślnego wyjścia z tego fatalnego położenia, w jakim się znajdował, było skupienie całej bystrości umysłu, całej uwagi, całej umiejętności w celu wygrania partyi. Przestał myśleć o wszystkim, myślał tylko, jak zwyciężyć.

Rozważył wszystkie pozycje i powiedział sobie:

— Chciał mnie zamatować odrazu, myśląc, że w przerażeniu nie będę się umiał bronić i dostanę żakowskiego mata... nie udało mu się, więc zaczyna powolną, systematyczną walkę, stawia swoje figury w obronnych pozycjach. Działać trzeba również powolnie, systematycznie i poważnie.

Po dość długim namyśle, pragnąc w następnym posunięciu zaatakować laufra przeciwnikowi, posunął o jedno pole pionka z przed wieży po stronie królowej.

Zaledwie zrobił to posunięcie, Witold bez chwili namysłu drugim swym laufrem zaszachował jego królowę.

Kornel spojrział na szachownicę i własnym oczom nie wierzył. Mógł bić bezkarnie szachującą figurę. Rozważył wszystkie następstwa, przewidywał dalsze posunięcia, obrachowywał, kombinował i wszystko się zgadzało, można było bić, bez najmniejszego groźnego następstwa.

— Oszalał chyba — rzekł do siebie i zabił.

Następne poruszenie Witolda mieczem ścięło krew w żyłach Wandy, a Kornela jeszcze większym przejęło zdumieniem. Podobnie jak poprzednio bez namysłu, Witold zaatakował wyprowadzonego na środek laufra, posuwając o dwa pola pionka z przed swojego konika.

Pionek zginął, król Witolda zostawał w szachu, Witold zasłonił się konikiem.



Po dwóch szaleństwach następowało trzecie jeszcze szaleńsze. Witold widocznie dawał swoje figury do wybicia, chciał przegrać.

W piersi Wandy oddech zaumierał, w oczach Kornela błyskać zaczęła radość.

— On się chyba więcej mnie boi, niż ja jego — odrzekł do siebie w myśli — stracił przytomność!.. Bijąc mu konia, szachuję znów króla i wieżę. Jeżeli z królem pójdzie w lewo, dostaje natychmiast mata, jeżeli pójdzie w prawo, traci wieżę, i dostać go może o kilka posunięć później.

Wpatrzył się w szachownicę i niby obliczał następstwa zamierzonego posunięcia. Właściwie nie o tem jednak myślał. Widząc, że już zaraz może nastąpić mat, medytował, czego zażądać od Witolda.

Różne przechodziły mu myśli, najwięcej jednak spodobala mu się jedna, i tej się trzymać postanowił:

— Będę wspaniałomyślnym... każę mu wypić szklanice wody z cukrem.

Takie powziąwszy postanowienie, zabił trzecią już z rzędu figurę i zawołał:

— Szach królowi!

Był przekonany, że Witold, tak wytrwale dążący do przegranej, sam się zbliży po swego mata. Wanda widziała także to posunięcie, i oczekiwała na nie z takim uczuciem, z jakim czekałaby śmiertelnego ciosu, mającego w jej własne piersi uderzyć, ale nie była zdolną odezwać się ani poruszyć.

Witold jednak, ciągle zdający się grać bez żadnego namysłu, usunął króla w sąsiedztwo konika, który mu jeszcze pozostał.

— Ucieka — pomyślał Kornel — widocznie chce się dłużej pobawić. Biorąc wieżę, biorę mu już czwartą figurę, a nie straciłem dotąd ani jednej. Byłbym głupim, gdybym się obawiał, że przegram.

Ledwie postawił swego laufra na miejscu wieży Witolda, Witold królową swoją zabił mu pionka stojącego tuż przy królu i rzekł spokojnie:

— Szach królowi!

Od początku tej gry szalonej Wanda, zdawało się, że pierwszy raz odetchnęła.

W istocie nigdy człowiek pewniejszy tryumfu nie ujrzał się nagle bardziej bez ratunku zgubionym.

Po tylu klęskach zadanych przeciwnikowi, Kornel w następnem posunięciu miał dostać nieuniknionego mata! Złapany został w sieć, w łapkę, wprowadzonym w zasadzkę, pokonany. To, co mu dawano do bicia, dawano dlatego tylko, ażeby sprowadzić ze stanowiska jedyne figury, któreby teraz ocalić go mogły.

Namyślać się nie było czego, jedno tylko, jedyne posunięcie zrobić było można, mimo to Kornel namyślał się, treścią jego namysłu nie było jednak, gdzie się posunąć z królem.

— Co ja pocznę z jego rozkazem? — powtarzał w myśli.

A myśl nie miała innej odpowiedzi, tylko te słowa:

— Nie wiem.

Witold nie przerywał jego namysłu, który byłby trwał bez końca, gdyby Kornelowi nie nasunęło się przypuszczenie, mieszczące jakąś iskierkę nadziei.

— Straszy mnie tylko... przecież widocznie chciał przegrać, kiedy wszystko po kolei dawał do bicia.. teraz zaatakował mnie, stanął w pozycji, która mu zapewnia wygraną, zapewne jedynie w tym celu, żeby jeszcze wyraźnie okazać, że sam przegranej szuka... Ręczę, że zamiast mnie zamatować, podsunie mi do bicia jakąś figurę... może tę szachującą królowę.

Ta myśl uspokoiła go do tego stopnia, że był zdolny podnieść rękę, która mu drżała widocznie, i usunąć swego króla.

Witold, tym razem bardzo powolnie, sięgnął po swoją królową, posunął ją o jedno pole i rzekł:

— Mat.

Nadzieja omyliła Kornela, partya była skończoną, stał się własnością rozporządzalną człowieka, o którym trudno było przypuszczać, ażeby go chciał oszczędzać.

#### XIV.

Jeżeli cały przebieg tej gry fatalnej do głębi przejmował jednego przynajmniej z jej uczestników, Kornela, i tę, która wbrew swej woli jej świadkiem być musiała, to to, co mogło nastąpić po jej rozstrzygnięciu, jeszcze głębiej poruszało całem ich jestestwem.

Kornel zdrętwiał; osłupiałym wzrokiem wpatrzył się w swego zwycięskiego przeciwnika. Myśli porozbiegały się po jego głowie, jak spłoszony tabun stepowych koni, zdawało mu się, że mu czaszkę rozsada, ale żadnem myśleniem woli spędzić ich nie mógł, żeby się zgromadziły w jakiś plan, w jakąś decyzję.

W duszy Wandy, jeżeli to być może, jeszcze straszliwsza toczyła się walka. Sumienie z nieubłaganą surowością czyniło jej wyrzuty, które ją przytłaczały swoim ciężarem. Miała być świadkiem jakiejś strasznej egzekucji, dopełnić się mającej na człowieku, którego wina nie zasługiwała na taką karę, albo jeżeli zasługiwała, to w polowie była jej winą. Bo któż inny, jak nie ona, mógł, któż inny, jak nie ona, powinien był nie dozwolić Kornelowi wejść w tę sytuację bez wyjścia? Ona tymczasem, nie tylko nie powstrzymała go na zgubnej pochyłości, ale owszem pociągała za sobą dalej, nad samą krawędź otchłani, w którą z nim razem zstępować nigdy nie miała zamiaru i woli. Teraz w tej otchłani on miał zginąć, a śmierć jego miała pozostać wieczną katuszą jej sumienia...



W ostatniej, stanowczej chwili czyż mogła pomyśleć o ratowaniu go, o odezwaniu się i wstawieniu za nim? Gdyby nawet miała odwagę błagać Witolda o łaskę i litość, czyż mogła mieć jaką nadzieję, że wysłuchaną zostanie, że wstawiennictwem swoim jeszcze sprawy skazanego nie pogorszy?..

Fatalność położenia była taką, że walczyć z nią nie było można.

Witold wstał, zbliżył się do stolika, na którym stała karafka z wodą, nalał jej do szklanki, włożył cukru i zaczął mieszać.

Był w tej chwili tak obrócony, że oboje szklanki widzieć nie mogli.

Po niejakiem czasie postawił szklankę przed Kornelem, i jakby odgadł jego wspaniałomyślne plany, rzekł:

— Wypijesz pan to...

Kornel odskoczył o kilka kroków blady i drżący z przerażenia i zawołał:

— Nigdy!..

— Odmawiasz pan stanowczo? — zapytał z lekkim uśmiechem zwycięzca.

— Odmawiam!.. wszystko uczynię, co pan każesz.. odjadę, gdzie pan chcesz... ale tej wody nie dotknę...

— Pan może zapomniałeś o warunku naszej gry?..

— Nie panie... pamiętam... wszystko, co pan chcesz, zrobię, ale tej wody się nie dotknę.

— Czy to ostatnie pańskie słowo?..

— Ostatnie... przysięgam zresztą, że będę panu powolny i posłuszny we wszystkim... nie dziś, ale przez całe życie moje, tylko tego nie zrobię... nigdy! nigdy!.. ja muszę żyć... muszę żyć...

— Dostyc panie... dostyc... będziesz pan żył — przerwał mu Witold.

Potem zwrócił się do Wandy i wskazując nie mogącego jeszcze przyjść do siebie z przerażenia Kornela, rzekł:

— Masz pani próbkę honoru pana Łońskiego...

Są ludzie, dla których usłyszenie takich wyrazów byłoby straszniejszem od wypicia trucizny, Kornel jednakże do takich nie należał.

Pewność, że żyć będzie, oprzytomniła go powoli, mniej już niepewnym okiem patrzył na mogące mu jeszcze grozić niebezpieczeństwo.

— Wyjdź pan stąd — rzekł do niego Witold.

Było to rozwiązanie tak łatwe, że przewyższało najśmielsze nadzieje Kornela. Z gorączkowym pośpiechem chwycił za kapelusz i zwrócił się ku drzwiom.

Witold gościem go zatrzymał.

— Nie tędy, panie... otwórz pan okno i wyskocz do ogrodu.

Kornel zatrzymał się przestraszony.

— Jakto, panie—wyjąkał—oknem.. z pierwszego pietra?..

— Nie lękaj się pan... okno nie wysoko... ogród niebrukowany...

— Ależ panie, to... to... ja nie wiem... ale...

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Witold nie bronił mu się płatać i szukać wybiegu.

— To mogłoby... panią skompromitować — odezwał się nareszcie Kornel, chwytając się myśli, która mu się wydała najszcześniejszą...

— Ah! ah! — roześmiał się Witold — panu tak idzie o to, żeby tej pani nie skompromitować! Jak na człowieka, który uporczywem nadskakiwaniem i całym postępowaniem swoim dostarczał tylko materiału do plotek, mogących uwłaczać jej sławie, jest to bardzo szlachetne z pańskiej strony. Ale mój panie, ja właśnie mam przeciwny interes, a że, niestety, wygrałem wiadomą panu partycję, więc albo pan wyskocz oknem, albo dostarcz mi jakiego innego dowodu, któryby ją kompromitował bez narażenia pana na zwichnięcie nogi.

Sytuacja dla Kornela stawała się coraz dogodniejszą, Witold posuwał ustępstwa do ostatecznych granic, sądząc, rozumie się, że stanowiska, jakie zajął w tej sprawie podarowany Wandzie przez sędzinę adorator, to jest ze stanowiska człowieka, dbającego przedewszystkiem o całość swej skóry.

Jakkolwiek jednak Kornel po tem, co zaszło, nie miał już wiele do stracenia w opinii Witolda i jego żony, czuł przecież, że przyzwolenie na tę propozycję trzeba choć jakimś błahym pozorem osłonić.

— Panie — rzekł — to czego pan po mnie wymagasz, jest przeciwne wymaganiom honoru, masz pan jednak prawo rozkazać mi to na zasadzie warunków odbytego pomiędzy nami pojedynku, a w takim razie, ale tylko w takim razie, jako bezmyślny niewolnik pański, wbrew woli mojej i sumienia...

— Dość, dość, panie — przerwał mu Witold — ciesz się, że pan sobie nareszcie przypomniał o warunkach odbytego pomiędzy nami pojedynku... Cóż więc w takim razie pan uczynisz?

— W takim razie możesz mi pan podyktować jaki chcesz dokument, odpowiadający pańskim życzeniom, a ja napiszę i podpiszę.

— Podły! — jęknęła Wanda — której głos i siły powróciły te słowa — bezczelny!

— Wiadomo pani, że jestem niewolnikiem pana — odpowiedział na to Kornel.

Witold zwrócił się do Wandy.

— Masz pani próbki odwagi, szlachetności i prawości tego pana.

To powiedziawszy, gniewnym gestem wskazał Kornelowi drzwi.



Leonidas termopilski na małą skalę i Roland ron-  
cewalski w miniaturze nie żądał powtórzenia tego giestu...

Zaraz po nim Witold wyszedł z pokoju, nie mówiąc  
ani słowa do żony.

## XV.

Kilka chwil zaledwie upłynęło od tej sceny, gdy do  
pokoju Witolda weszła blada i chwiejąca się Wanda.

— Przyszłam się spytać ciebie — rzekła stając przed  
nim — co ze mną chcesz uczynić, Witoldzie?...

— A cóż sądzisz, że powinienem uczynić?

— Sądzę, że powinienes mi przebaczyć...

— Przebaczyć... co?..

— Wszystko, czem zawiniłam przeciwko tobie — mówiła  
dalej głosem łagodnym i spokojnym, ale dźwięczącym tak  
błagalnie, jak tylko wielka boleść i poczucie się do winy  
przemawiać może, kiedy się nie do ucha ale do serca  
odzywa. — Nie lękaj się... przebaczenie nie będzie zbyt  
trudne... Kochałam cię zawsze i nigdy nie zapomniałam  
o tem, że ciebie kocham, ciebie tylko... Nikt inny, nigdy  
nie słyshał z ust moich tego wyrazu... Cały mój grzech,  
żem widziała i słuhała... odpowiedzią nawet nie przewi-  
niłam... Wierz mi... chwila zbyt uroczysta, ażebym kłamać  
mogła... i przebac mi, choćby dlatego, żem się za winę  
moję ukarała sama... przebac mi i to, żem sama się

ukarała, a nie pozostawiła tobie wyboru kary... Witoldzie  
drogi Witoldzie, nie pozwalaj mi umrzeć bez twojego  
przebaczenia...

To mówiąc pochyliła się i obsunęła do jego nóg.

Witold ją zatrzymał i przycisnął do łona w milczeniu.

— Więc mi przebaczasz, Witoldzie, więc mi przeba-  
czasz?... Powiedz mi to, powiedz... nie każ mi czekać  
długo... ja długo czekać nie mogę... ja wypilałam tę wodę,  
którąś przygotowałam...

— Uspokój się, moje dziecię! — zawołał Witold jeszcze  
silniej przyciskając ją do swych piersi — uspokój się...  
na przebaczenie możesz zaczekać, aż naprawdę przeciwko  
mnie zawnisz, bo teraz cóżbym ci przebaczał?.. Albożem  
wątpił kiedy o twojej miłości, albożbym pierwszy tego  
nie spostrzegł, gdybyś ty mnie kochać przestała?.. Od  
szklanki wody z cukrem nikt jeszcze nie umarł, drogie  
dziecię...

— Jakto? Witoldzie!.. więc tam nie było trucizny?..  
więc ja żyję i mam ciebie i jestem twoja, twoja jak byłam,  
twoja na zawsze?... O Boże wielki! i za cóż na mnie  
zsyłasz tyle szczęścia!. Witoldzie, ja się ciebie boję i  
wstydzę, bo ty jesteś więcej jak człowiek, a ja jestem  
tylko kobietą!..

— Nie bluźnij, dziecko — rzekł Witold i zamknął jej  
usta pocałunkiem.

K O N I E C.

# ROCZNICE HISTORYCZNE.

## Kłęska pod Batowem,

dnia 2. czerwca 1652.

Okolo połowy XVII. wieku, gdy jeden cios za drugim  
godził w zawichrzoną i tysiąciami klęskami skołatana  
Polskę, największe niechybnie nieszczęście spotkało  
ją z tej właśnie strony, z kąd przy szczęśliwszym  
obrocie rzeczy i rozsądniejszym postępowaniu mogła się,  
jak za dawnych czasów, spodziewać najdzielniejszej zapory  
przeciw najazdom pogańskiej dzicy.

Stało się inaczej. Zuchwały Kozak, Chmielnicki,  
mszcząc się osobistej urazy, staje na czele kilkuset zbie-  
gów, buntuje lud okoliczny, sprzymierza się z Tatarami  
i zadaje wojskom polskim straszne klęski, naprzód pod  
Żółtymi Wodami, a potem pod Korsuniem — staje się py-  
sznym władcą Ukrainy, rozrządza półmilionowym zastępem  
rozpasanej hałastry.

Po długich przygotowaniach wychodzą wręście  
w pole liczne wojska polskie pod wodzą Jana Kazimierza,

staczają z nieprzejrzaniem tłumami kozactwa i Tatarów  
bitwę pod Beresteczkiem, po trzydniowych zapasach w puch  
rozbijają nieprzyjaciela — lecz nie umieją korzystać z wal-  
nego zwycięstwa, opieszałością swoją pomagają Bohda-  
nowi do zebrania sił rozprószonych, do wzrostu złamanej  
na chwilę potęgi kozackiej, podnoszącej się szybko jak  
skoszona na stepie ukraińskim trawa. To też zamiast  
upokorzyć zbuntowanych, i do dawnego posłuszeństwa  
skłonić, kontentują się zwycięzcy zawarciem nic nie zna-  
czącego pokoju w Białej Cerkwi.

Odetchnąwszy po dotkliwym pogromie, ochłonąwszy  
z płonnego przestachu, widząc, że w Polsce po staremu  
nieład i anarchia, spotęgowane dopiero co dokonaniem  
zerwaniem sejmu przez smutnej pamięci Sicińskiego,  
przygotował Chmielnicki nową wyprawę dla osiągnięcia  
za jednym zamachem dwóch celów, bo zapewnienia sy-



nowi Tymoszkowi Wołoszczyzny i zgniecenia reszty siły zbrojnej polskiej stojącej na Ukrainie z hetmanem polnym, Marcinem Kalinowskim na czele.

Synalek Bohdanów, sprośny i głupi kozak, Tymoszek, odawna już wzdychał do ręki nadobnej gospodarowej wołoskiej, Lupulówny donny Rozandy, otaczanej również zalotami kilku pań polskich, ba samegoż nawet hetmana Kalinowskiego, który w podeszłych już latach zamarzył o młodej bogdancie. Dumny Lupul zrazu wymijając dał Kozakowi odpowiedź, lecz gdy ten mszcząc się odmowy, dwukrotnie kraj jego straszliwie spustoszył, przyciśnięty gospodar przyrzekł zań wydać jedynaczkę.

Berestecka potrzeba opóźniła dotrzymanie obietnicy; lecz skoro tylko siły kozackie się wzmogły, a Kalinowski, lubo wskutek wspomianego zerwania sejmu pozbawiony wszelkiej pomocy, jednak nie myśląc wcale o niebezpieczeństwie, założył pod Batowem, u źródeł Bohu, dla szczupłej garstki wojska ogromny obóz, osądził Chmielnicki, że chwila szczęśliwa nadeszła. Ze zwykłą zaś sobie przebiegłością pisze do hetmana polnego list z ostrzeżeniem, aby dla uniknięcia zwady, ustąpił synowi jego z drogi. „Tymoszek (pisał) bez mojej woli idzie do Wołoszczyzny, jednak nie myśli Polakom nic złego zrobić, bo tam idzie w zaloty, chyba Tatarzy, naród swawolny, onym wierzyć nie trzeba.“

Nie mógł tak zuchwałej rady posłuchać Kalinowski, lecz sam ton Bogdanowego wezwania powinien go być skłonić do zachowania środków ostrożności, przygotowania się do obrony i ściągnięcia wojska, jak mu radzili pułkownicy z Zadnieprza i z innych stron. Nie myślał o tem hetman, ufny w dziewięcioletni poczet rycerstwa i pewny, że Tymoszek z drobną garstką dziewosłębów spieszyci do Jas.

Ale wkrótce miał się przekonać o mylności swego sądu. Już bowiem w dniu 1. czerwca nad ranem stanęła pod Batowem część Tatarów sułtana Nureddyna; lecz zabrawszy wiele paszących się na łąkach koni, po krótkim starciu ustąpiła. Hetman łudził się jeszcze, że na tej zaczepce skończy się wszystko, pomimo zdrowych uwag pułkowników, a mianowicie jednego z nich, Przyjemskiego, który między innymi rzekł: „Daj Boże, żeby ta nawałność przeszła mimochodem i ten w amorach utopiony młodzian spieszył copędzej z amatorami do Wołoch; lecz mnie się widzi, że ta nawałnica nie momentem skończy się, i że niepierwej nieprzyjaciel ztąd odejdzie, aż Tatarowie na-

sycą się łupem, a rebelia kozacka krwią naszą zafarbuje weselne gody.“

Radził dalej Przyjemski hetmanowi, aby uszedł wraz z jazdą, w celu zebrania posiłków, sam ofiarując się na czele 3000 piechoty bronić obozu od nieprzyjaciela. Podobala się wszystkim rada doświadczonego żołnierza, lecz Kalinowski uporczywie opierał się jego propozycji, co nawet wywołało szemranie między posłusznem dotąd wojskiem.

Tymczasem nazajutrz nadszedł Nureddyn z 40 tysięczną oradą, z nim Tymoszek, a wreszcie i Bogdan z kilkudziesięciu tysiącami jazdy. Tak ogromne siły otoczyły dziewięcioletni zastęp Polaków, rozprószone jeszcze po zbyt szerokich okopach, przeznaczonych nietylko dla obecnej załogi, lecz nadto dla oddziałów ukraińskich, oraz dla kozaków z Humania przez Chmielnickiego przysłać się mających. Okopów tych nie czas już było zmniejszać, gdy nieprzyjaciel był na karku.

Napaść Tatarów odparł z początku skutecznie <sup>brat</sup>ojciec Jana III., Marek Sobieski. Z drugiej strony okropny szturm przypuścił Tymoszek, odpierany mężnie przez pułkownika Przyjemskiego.

Na nieszczęście zapaliło się nagromadzone w obozie siano i słoma, a od nich i namioty; dym prochu zewnątrz, płomienie wewnątrz tem więcej utrudniały obronę, zaciemniając widnokrąg i usuwając z przed oczu nieprzyjaciela.

Nieustraszonego Marka Sobieskiego dzielnie się potykał, lecz przeważny wróg większą część obrońców trupem położył, a Kozacy już dobywali wałów pod wodzą pułkownika Złotarenki. Część odpartej przeważnymi siłami nieprzyjacielskimi jazdy polskiej nie chciała iść powtórnie w ogień. Obruszony do żywego tem nieposłuszeństwem Kalinowski, strzałami niemieckiej piechoty do dalszej walki ją zmusił. Nic to nie pomogło: wróg otoczywszy ze wszech stron obóz, rozpoczął straszny rzeź.

Mniejsza połowa wojska, wraz z hetmanem polnym, poległa, reszta (5000 żołnierzy) poszła w jasyr tatarski, lecz rozjuszone kozactwo domagało się, aby mu wolno było wysieć jeńców do nogi. Wzdrygali się przed takim okrucieństwem sami Tatarzy, lecz upojeni i przekupieni przez Tymoszka i Bohdana ustąpili im łupu za cenę 30,000 czerwonych złotych. Kwiat młodzieży i rycerstwa polskiego zginął tak pod zbójcecką szablą.

„Jak Polska Polska“ — mówi Kochowski — „nie uderzył w nią piorun straszniejszy od batowskiego.“

K.



# Z życia Szlachcica.

A. GROTTGERA.

IV.



Tak gdy w młodzińca urosło pacholę,  
Wciąż z duszy ojca biorąc wiedzę inną:  
Zna, jak dłoń krzepić, jak kielznać swawolę,  
Jak dla Ojczyzny miłej żyć powinno.

Lecz jeszcze jeden chrzest je czeka — mężki!  
Na krwawem polu, po walce stoczonej,  
Widzi, jak pada na sztandar zwycięzki  
Ojciec od śmierci tylko zwyciężony!

I z oczu starca, — które nim zagasną,  
Drużynę z dumą błogosławią bratnią,  
I w mrok wieczności spoglądają jasno, —  
Odbiera jeszcze naukę — ostatnią:

Że zgon — cnotliwych z pługiem lub orężem,  
Nadziemską ciszą darzy i obleka;  
Że dla ojczyzny śmierć jest jak sen lekka:  
I łzę ostatnią roniąc, wstaje — mężem!..



## Zachowanie się owadów w walce o byt. Owady-rzemieślnicy.

Wiele owadów żyje polowaniem, a różnica sposobów, których używają przytem, mogłaby posłużyć za podstawę do podziału ich na kategorie. Niektóre ścigają swą zdobycz pieszo przez pagórki i krzaki i atakują z lwią odwagą; do takich należą karaby błyszczące złotem i błękitem, które niszczą ogromną ilość owadów szkodliwych rolnictwu. Inne, więcej dowcipne, rozciągają sieci, lub zastawiają sidła, w które wpadają ich ofiary.

Życie owadów przedstawia wiele przykładów anomalii, jakich nie można znaleźć między innymi zwierzętami; jak na przykład zwyczaj zupełnie odmienny u dwóch gatunków, fizycznie prawie niczem się nie różniących. Tak gąsienice ładnych naszych *Libellul* żyją w błocie bagien, gdy przeciwnie inna gąsienica, która jest zupełnie do niej podobna, żyje w piasku, rokoszując w upale słonecznym. Mówimy o gąsienicy mrówkolwa, nazwanej tak z powodu spustoszeń, które czyni między mrówkami.

Ta gąsienica powolna i ciężka, lecz zapewne jedna z najdowcipniejszych między znanymi, zastawia sidła w najsuchszym i najdelikatniejszym piasku, jaki może znaleźć. Robi ona lejkwaty dołek, zagrzebuje się w nim i oczekuje cierpliwie, póki mrówka lub jaki inny owad nie wpadnie w przygotowane sidła, a jeżeli ofiara usiłuje zemknąć po usuwającym się pod jej nogami piasku, lub zatrzyma się na brzegu dolka, gąsienica odurza ją, rzucając za pomocą sterczącej z ukrycia główki ziarna piasku, z którymi pożądana zdobycz aż na samo dno lejka wpada. Ciekawym jest bardzo sposób, w jaki mrówkolew dołek swój wygrzebuje. Wybrawszy miejsce, na którym się zacząć myśli, zakreśla nasamprzód koło, mające do trzydziestu cali średnicy, następnie staje w środku tego koła, i ugrzebawszy jedną z nóg swoich, jakby łopatką, nieco piasku, wkłada go na swoją główkę i mocnym ruchem jej wyrzuca o kilka cali poza obręb zakreślonego koła. Ten ruch powtarza z taką bystrością, że cząsteczki ziemi lecą prawie nieustannie; zwierzątko obraca się naokoło, zawsze tej samej nogi do odgrzebywania piasku używając, aż póki nie wykopie otworu głębokiego na dwadzieścia cali. Gdy już forteca gotowa, gąsienica zakopuje się w piasku, w samym środku tak, iż nic więcej nie widać, jak wielkie jej zuwaczki, czekające zdobyczy. Jeżeli wśród pracy swojej mrówkolew napotka na kamyk, psujący prawidłowość lejka, pomija go zrazu, ale wraca znowu do niego po ukończeniu dolka i wszelkimi sposobami usiłuje podkopać się pod kamyk i na grzbiet go wydstać, ażeby potem na znaczną odległość poza obręb lejka wyrzucić. Jeżeli mu siły nie wystarczają w tej mierze, porzuca całkiem swe dzieło i szuka innego dogodniejszego miejsca.

Lecz gdyby mrówkolew zostawiał obok siebie ciała owadów, których soki wysysa, jego pułapka prędkoby się zmieniała w truparnię; więc potrzeba się ich pozbyć, koniecznie. W tym celu po wyssaniu każdego owadu gąsienica kładzie trupa jego sobie na głowę, i potem silnym ruchem wyrzuca niekiedy bardzo daleko za brzegi lejka, żeby zniszczyć podejrzenie, mogące się zrodzić w nowych nieostrożnych ofiarach, zbliżających się do tej fatalnej jamki. Jeżeli ściany lejka zostaną nadwreżone, co prawie zawsze się wydarza, gdy się weń owad stoczy, mrówkolew starannie naprawia wszelkie uszkodzenia.

Inne polujące owady, mniej dowcipne lecz więcej odważne, działają jak drapieżne ptaki, jak sokoły, w lot wpadając na swe ofiary i chwytając je w powietrzu. Do takich należą śliczne owadki z przezroczystymi, tęczowego koloru skrzydełkami, latające nad moczarami, a które zowią pannami.

Niektóre pająki urządzają sidła jeszcze osobliwsze, snując w rozmaity sposób pajęczynę, służącą do chwytania much i innych owadów, któremi się karmią. Przędę, z której pająki snują swe sieci, jak również oprędy na jaja, wydzielają one z przyrządu w tylnej części ciała umieszczonego. Przyrząd ten składa się z czterech lub sześciu brodawczek podziurawionych; kleista materya, wypuszczana temi dziurkami, zetknąwszy się z powietrzem twardnieje, tworząc niezmiernie cienkie i długie niteczki. Pająk nogami skręca mnóstwo tych nici w jeden sznurek i z nich snuje sieć. Kolor i grubość tych nitek są bardzo rozmaite; jeden pająk meksykański robi sieć złożoną z nici czerwonych, żółtych i czarnych, poskręcanych razem nadzwyczaj miśternie. Wyrachowano, że dziesięć tysięcy nici zwykłych naszych pajaków nie wyrównują grubością jednemu włosowi ludzkiemu, gdy tymczasem pająki stref gorących przędą pajęczynę tak mocną, że ta może ptaszki uwięzić, i człowiek nawet musi użyć siły do jej rozerwania.

Próbowano jeszcze za Ludwika XIV. robić materye z pajęczyny, lecz nasza europejska pajęczyna jest zbyt słabą. W Ameryce zaś p. Orbigny dla ciekawości kazał zrobić sobie pantalon z takiejże tkaniny, które mu długo służyły.

Sposób, w jaki pająki rozciągają pajęczynę, jest rozmaity: jedne tkają siatkę okrągłą z oczkami zupełnie jednakowemi, jak na przykład krzyżaki, znajdujące się w ogrodach naszych; inne, przebywające w mieszkaniach naszych, zajmują kąty murów; w nich widzimy poziomą siatkę pokrytą pyłem, a nad nią nieprawidłowie przeciągnięte nici pajęczyny, w którą się płacze biedna ofiara. Pająk domowy nie siedzi nieruchomie w środku sieci, jak



to robi ogrodowy, lecz zaczają się w schronieniu, które tuż obok sieci urządził. Schronienie to jest podobne do tunelu z podwójnym wyjściem i do podwójnego użytku. Jeden otwór wychodzi na siatkę, drugi zaś jest prostopadły nadół. Przez pierwszy pajak rzuca się na zdobyc, drugim wyrzuca ofiarę, której krew wypił, żeby zmarłe szczątki nie odstraszały innych owadów; dla tego też pod tym otworem na podłodze zawsze znajduje się wiele much martwych.

Obrzydzenie, które wzbudza pajak, nie ma żadnej podstawy, bo nie wiele owadów ma tyle zmyślności, i tak ciekawy ustrój. Strach, który na ich widok okazują niektóre osoby, nie jest także usprawiedliwiony. Prawda, iż są pajaki, których ukąszenie jest tyleż niebezpieczne, co i ukąszenie gadziny, lecz żyją one tylko pod zwrótnikami. Pajaki nasze polskie są nieszkodliwe, z wyjątkiem żyjących w lochach, po których ukąszeniu czuje się mocny ból, zapalenie i obrzęk zranionego miejsca; lecz to wszystko prędko przechodzi.

Tarantula włoska, wielki pajak żyjący w otworach wykopanych w ziemi, o której prawiono, iż jej ukąszenie wprawia w szaleństwo i obudza chęć do tańca, straciła sławę swoją, skoro się jej bliżej przypatrzyli przyrodnicy.

Jadowity przyrząd pajaków ma podobieństwo do takiegoż u węzów. Pyszczyk jest uzbrojony ruchomymi haczkami, które blisko wierzchołka mają szczupły otwór będący ujściem kanału od gruczolika jadowego, znajdującego się na wewnętrznej stronie szczęk. U wielkich, podzwrotnikowych gatunków jad ma taką siłę, że w jednej chwili zabija zwierzęta daleko większe od pajaków, jak na przykład ptaszki.

Rozpatrując historią owadów zdumiemy się, znalazłszy takie silne namiętności w tak małych stworzeniach: nienawiść je zapala, żądza zdobyczy nimi kieruje. Aby zadość uczynić złym skłonnościom swoim, toczą one wojnę między sobą, biorą niewolników, skazują ich na ciężkie roboty. Niekiedy jeden rój pszczoł napada na drugi w celu zrabowania jego zasobów. W takim razie, jeżeli najezdniczy rój zwycięzcą zostanie, niszczy on cały rój zwyciężony do szczętu, i przenosi wszelkie zasoby miodu do swego ula.

Mrówki w walce z sobą biorą niewolników, bo niewolnictwo jest koniecznie potrzebne dla ich istnienia. Już oddawna badacze przyrody zauważali, że pewne rodzaje mrówek w swoich wycieczkach przynoszą inne w swym pyszczku, lecz nie wiedziano, w jakim celu. Hubert odkrył tę tajemnicę. Są to porwania, wykonywane przez owady w interesie swej rzeczypospolitej, zabór niewolników odkrytą siłą. Ci drobni fibustierowie nie niosą swej zdobyczy na sprzedaż, lecz do swego mieszkania, gdzie zmuszają ją do wszystkich prac, których ci sybaryci spełniać sami nie chcą.

Gdy mrówki amazonki wyruszają na wojnę po nie-

wolników, a szczególnie po mrówki ziemne, które im służą, występują w wojennym porządku. Marsz zwykle zaczyna się przed nocą. Wyszedszy ze swego mieszkania, amazonki formują się w ściśle kolumny, i cała armia kieruje się ku mrówisku, które myśli zrabować. Naprózno wojsko napadniętych broni przystępu. Nie zważając na ich waleczność, napastnicy dostają się do środka, przeszukują wszystkie kryjówki dla wybrania ofiar, a mianowicie gąsieniczek i poczwarek. Mrówki robocze, broniące mrówiska, bywają tylko pokąsane, lecz ich nie biorą amazonki w niewolę, bo nie łatwo znoszą jarzmo; im potrzeba zupełnie młodych stworzeń, które można przyzwyczaić do niego. Gdy rozgrabienie mrówiska skończone, każdy zwycięzca bierze gąsienicę lub poczwarkę po pyszczka i przystępuje do odwrotu. Ci, co nie znaleźli podobnego łupu, niosą trupy nieprzyjaciół na zjedzenie, lub swoich rannych. Nareszcie cała armia, obciążona zdobyczą, w długiej regularnej kolumnie wraca do swego grodu. Jak tylko młode mrówki, wyrwane z domu rodziców, przybędą do mieszkania zdobywcy, starzy niewolnicy, tam znajdujący się, biorą je pod swą opiekę, karmią, poją i ogrzewają zziębłe ich ciała.

W republikach niewolniczych zwycięzcy i ich niewolnicy wkrótce zamieniają role. Niedawne plemie wojownicze, przywiodszy sługi, oddaje się próżniactwu, które tak je osłabia, że samo wkrótce dostaje się pod jarzmo zwyciężonych. Zależność jego jest taka, że pozbawione niewolników, zginie z nędzy i głodu. Ci rozbójnicy, tak mężni w walce, nie lubią pracy; będąc żołnierzami, znają się tylko na bójce, lecz nie umieją ani zbudować mieszkania, ani wykarmić potomstwa. Obowiązki te spełniają mrówki robocze. Jeżeli są zmuszone do porzucenia mrówiska zbyt starego lub szczupłego, emigracją decydują mrówki robocze. Co więcej, każdy niewolnik bierze w pyszczek jednego ze zniewieściałych swych panów i przenosi na nowe mieszkanie, jak kot przenosi swe małe dziecię z miejsca na miejsce.

Hubert chciał doświadczalnie dowiedzieć się, do jakiego stopnia dochodzi ta społeczna zależność, i przekonał się, że wódzowie, pozostawieni samym sobie, nie umieli dać rady nawet wśród dostatku. Ten badacz przyrody zamknął w szklanym naczyniu, położywszy potrzebny pokarm, kilkadziesiąt amazonek, nie dodając im żadnej roboczej mrówki. Mrówki popadły natychmiast w zupełną apatję chociaż obok nich położono kilka gąsienic i poczwarek, żeby pobudzić je do pracy. Więźniowie woleli umrzeć z głodu jak jeść. Już kilkanaście zginęło w ten sposób, gdy przyszło do głowy uczonemu Genewczykowi, wpuścić jedną roboczą mrówkę. Zaledwo wpuszczono ją pośród umarłych i umierających, natychmiast rzuciła się do pracy, dając jeść żyjącym, pielęgnując gąsienice i urządzając im dogodne schronienie. Jedna robotnica zabiła od śmierci całą kolonię.



Jak pszczoły, tak i mrówki robocze zajmują się wszystkim, co tylko do dobra mrówiska zmierza, rozumie się w sposób rozmaity, stosownie do gatunku. Jedne budują wspólne mieszkanie w ziemi, inne w drzewach. Pierwsze wykopują w gruncie liczne galerye i izby, podzielone na piętra, a z wyrzuconej ziemi utworzywszy wzgórek, przedłużają w nim mieszkania podziemne; czasem nawet oblepiając tąż ziemią łodygi roślin, na których pożywienia szukają, robią ukryte drogi, któremi chodzą codziennie po żywność. Mrówki drzewne sadowią się w drzewach, stoczonych przez gąsienice innych owadów i rozmiękczonych zgnilizną. Za pomocą swych mocnych żuwaczek oddzielają cząstki drewna i wyżłabiają kilka piąter, przedzielonych podłogą i podpartych słupkami z drzewa niestoczonego, albo też z trocin śliną posklejanych. Jeżeli jaka część ich mieszkania zapadnie się, mrówki, które ocalały, z niezmiernym pospiechem i czynnością biorą się do wydobycia przywalonych gruzami, znosząc okaleczone w miejsca bezpieczne, a potem przystępują do naprawy budowli. We wszystkim tem ani samce, ani samice nie biorą żadnego udziału. Pierwsi krótko tylko bawią w mrówisku i giną natychmiast z opuszczeniem jego; z samcami wychodzą i samki, lecz po rozłączeniu z nimi tracą skrzydła, i robocze mrówki odprowadzają je do najgłębszych komórek, gdzie ich pod ścisłym zamknięciem strzegą, potrzebnej dostarczając żywności. Każde jajko, które samica zniesie, odnosią do osobnej komórki, przyczem starannie oddzielają jajka na samice od jajek na samców. Podobnej pieczy doznają i wylęgłe z jaj gąsienice: robocze mrówki w dniach pogodnych wynoszą je na słońce, strzegą pilnie od napaści nieprzyjaciół, a z nadchodzącym wieczorem znowu do wyczyszczonych mieszkań odnosią.

Zwyczajne mrówek różnią się według miejscowości, które zamieszkują, i ilości robotnic, które posiada mrówisko. W Szwajcaryi Hubert widział, że niewolnice pracowały razem ze swymi panami przy budowie pomieszkania dla całej kolonii, i że ci ostatni otwierali drzwi ze wschodem słońca i starannie zamykali na noc lub w czasie ulewy i burzy. W Anglii, według Darwina, życie niewolników jest więcej zamknięte. Uczony ten nigdy ich nie widział wychodzących z mrówiska, w którym zajmują się domowymi robotami. Lecz pochodzi to zapewne, według zdania Darwina, stąd, że więcej się znajduje niewolników w mrówiskach szwajcarskich, a zatem można im poruszyć część pracy na zewnątrz.

Nie wszystkie jednak gatunki mrówki poddają się łatwo pod jarzmo. Są bardzo drobne mrówki żółte, które stawiają opór amazonkom, bijąc się na śmierć; odwaga zastępuje im siłę. Nawet czerwona mrówka, najwięcej posługująca się niewolnikami, nigdy się nie odważa napadać na pomieszkanie żółtych mrówek, które biją się wściekle, broniąc swych domów i rodziny. Dla tego też można cza-

sami ze zdziwieniem znaleźć małą kolonijkę tego męznego gatunku, mieszkającą pod kamieniem tuż obok mrówiska niewolniczego.

Mrówki latem nie zbierają żadnych zapasów ani dla siebie ani dla swoich gąsienic, ale codziennie po żywność dla całego mrówiska wychodzą. Zbierają one słodyczne z kwiatów, i nadzwyczajnie lubią osobny syrop, który mszyca, połączona rozkami, wydziela z ciała. Mrówki często nie przestają na zebraniu tej słodkiej kropelki, którą im mszyca zostawia, ale przenoszą ją samę do swych pomieszkań i chowają tam jak gospodarz krowę dojną, dając jej do jedzenia te rośliny, któremi się mszyca karmi. Czasami, żeby mszyce dawały więcej słodkiego syropu, mrówki pozostawiają je na roślinach ulubionych przez te owady, a z ziemi drobnej budują rodzaj małych stajenek, w których trzymają je w niewoli. Hubert po raz pierwszy odkrył te ciekawe budowle. Widziano, jak dwa sąsiednie mrówiska srogi bój toczyły o te szkodliwe krzewom i kwiatom owady, a zwycięzka strona odnosiła je skwapliwie w oddzielne stajenki. Któżby spodziewał się, że mrówki mają swe dojne krowy, swe owce, i są plemieniem pasterskiem!

Mrówki niekiedy toczą z sobą zaciętą wojnę. Jedną z bitw opisał uczony Genewczyk, i my powtórzmy dosłownie opis jego. Bój się toczył między dwoma mrówiskami jednego gatunku, znajdującymi się o sto kroków jedno od drugiego. „Nie wiem — powiada Hubert — co było przyczyną wojny między dwiema rzeczypospolitemi, jednakowo ludnemi. Dwie bardzo liczne armie spotkały się na pół drogi od mrówisk. Ich ściśnięte kolumny ciągnęły się od pola walki aż do mrówiska, mając po dwie stopy szerokości, ogromna więc rezerwa podtrzymywała bojowe linie, w których tysiące mrówek, wlaższy na najmniejszą wydatność ziemi, walczyły po dwie atakując za pomocą swych silnych szczęk. Inne brały niewolników, ale po zaciętej walce, bo ci ostatni wiedzieli, jak okropny los ich czeka natychmiast po przybyciu do obcego mrówiska. Pole bitwy, mające od dwóch do trzech kwadratów stóp, było pokryte zabitymi i rannymi i wydawało przenikający zapach kwasu mrówczanego. Tu i tam były się duże mrówki w pojedynkę, szczepiwszy się mocnemi szczękami i podnosząc się na tylnych nóżkach; wkrótce zmęczone padały obiedwie na ziemię nie wypuszczając przeciwnika. Zwykle obydwaj walczący otrzymywali pomoc, i tworzyły się łańcuszki z ośmiu lub dziesięciu mrówek, które trzymając się, jedna drugą ciągnęły w przeciwne strony walczących, dokąd jeden nie puścił swego przeciwnika lub nie został wzięty w niewolę przez przemagającą siłę. Ze zbliżeniem nocy obie armie wróciły do swoich pomieszkań. Lecz na drugi dzień, walka zaczęła się nanowo z jeszcze większą zażartością: kolumny miały do sześciu stóp długości; po dwie szerokości. Zaciętość walczących była



tak wielka, że żaden nie uważał obserwującego, i nikt nie myślał atakować go.“

Jeżeli przeniesiemy się w okolice podzwrotnikowe, gdzie silna przyroda pomnaża źródła życia, obaczmy, że owady uporczywie walczą o każdą piędź ziemi z człowiekiem. Jest to wojna według wszelkich prawideł, którą z nim toczą, atakując plantacje i pomieszkania, wojna zacięta, bez litości, i w której człowiek musi czasami uciekać się do armat.

Takim owadem jest wojownicze plemię Termitów w okolicach przylądka Dobrej nadziei, które zwraca uwagę wszystkich podróżnych konstrukcją swoich pomieszkań i szkodliwością swoją. Termity, czyli mrówki białe żyją w towarzystwie, składającym się: z robotników, którzy zajmują się tylko budową pomieszkania; z żołnierzy, mających obowiązek bronić kolonii i utrzymywać w niej porządek, i z samek, szanowanych bardzo przez całą ludność mrówiska. Samki są to potworne worki jaj, prawdziwe maszyny do niesienia ich, bo samka znosi sześćdziesiąt jaj na minutę, to jest 86.400 na dzień.

Ogrom i trwałość gniazd ich są przedmiotem podziwu cudzoziemców. Mają one czasami do dwudziestu stóp wysokości, i są podobne do kolosalnej głowy cukru o szerokiej podstawie i o bokach najeżonych dodatkowymi pagórkami. Zdaleka kolonie Termitów wyglądają jak wsie murzynów. Ściany tych pomieszkań są tak mocne, że dziki bawół wbiega na nie, nie załamując ich. We wnętrzu są tak obszerne pokoje, iż w nich kilkanaście osób może znaleźć schronienie. W nich to nieraz chowają się strzelcy od napaści dzikich zwierząt. Oprócz obszernych pokoi, w tych falansterach znajdują się długie galerie podziemne, mające poprzecznik taki, jak otwór naszych wielkich armat.

Pomniki, które budujemy i którymi się pyszimy, są prawie niczem w porównaniu z pomnikami, które budują Termity. Wysokość ich mieszkań pięćset razy jest większą, niż długość ich ciała. Gdybyśmy chcieli budować domy nasze w tym stosunku, byłyby one cztery lub pięć razy wyższe, niż największa piramida egipska.

Inne Termity, zamiast budowania tych zadziwiających gmachów, zajmują się niszczeniem pomieszkań miejscowej ludności i wszystkich mebli. Ci straszni napastnicy zbliżają się podziemnymi galeriami, przegryzują belki i podpory, i wyjadają całe wnętrza ich w ten sposób, że z nich pozostaje tylko zewnętrzna warstewka grubości opłatka. Nic nie wskazuje ich bytności, lecz z domu nie pozostaje nic, jak cień jego, pałac z kart, który pada i w proch się obraca za podmuchem silniejszego wiatru. Termity to często niszczyły całe miasta, które mieszkańcom przyszło porzucać. Sir Moxon opowiadał mi, że Termity potrzebują bardzo mało czasu do zniszczenia domu. Wielkie schody w hotelu nowopostawionym termity zniszczyły w piętnastu dniach. Stoły, fotele i krzesła zjadają w jeszcze

krótszym przeciągu czasu. Często po krótkim oddaleniu z domu można już znaleźć tylko łupinę mebli: powierzchnia zachowała całą swą świeżość, lecz wewnątrz tak wydrążone, że za dotknięciem ręki rozsypuje się w proszek. Są Termity i we Francji, i chociaż mniejsze i nie tak szkodliwe, jednak niedawno zniszczyły archiwa w Rochefort, i popsuły wiele ławek w arsenale tego miasta.

W sferach podzwrotnikowych pewny gatunek mrówek nie mniej jest niebezpiecznym od Termitów. Nie niszczą one pomieszkań, lecz urządzają ogromne mrówiska na polach uprawnych, które mają od piętnastu do dwudziestu stóp wysokości. Tam się mnożą do tego stopnia, że koloniści są zmuszeni szukać innego miejsca, lub otoczywszy palnym materiałem każdy podobny pagórek, podkładać ogień, lub nareszcie strzelać kartaczami, żeby rozbić pomieszkanie i rozpędzić mieszkańców. Tak więc człowiek musi czasami używać artylerii przeciw owadom.

Nie zważając na wyższość, którą sobie rości człowiek nad całym stworzeniem, jakże często posiada on mniej energii i rozumu od nędznego owadu! Nie dajcie człowiekowi żadnych instrumentów, i kaźcie mu pogrzebać słońca lub nosorożca, a straci na to część życia swego; połamie sobie paznogie nim jamę wykopie, i napróżno będzie robić wysiłki, żeby ściągnąć olbrzyma do jamy i zasypać go ziemią. Chrząszczyk grabarz (*Necrophorus*) spełnia stosunkowo podobną robotę w kilka godzin.

Jeżeli kret zabity znajdzie się w ogrodzie lub w polu, natychmiast przyłeci owad i w trzy lub cztery godziny pogrzebie go zupełnie, chociaż co do wielkości zachodzi ten sam stosunek jak między słońcem i człowiekiem. Instynkt macierzyński kieruje owadem, bo dla młodego potomstwa potrzebne jest mięso kreta, więc owad zakopuje go do ziemi, żeby zachować w dość świeżym stanie w chwili, gdy się wylęgną gąsienice z jaj złożonych pod jego skórą. Jestto pokarm owadu ulubiony; rzućcie mysz lub ptaka martwego, grabarz go nie dotknie; lecz jak tylko zdechnie kret, natychmiast nie wiedzieć z kąd pojawia się owad, przyciągnięty zapewne zapachem, i grzebie go.

W tym celu grabarz podkopyje się pod kreta, i wyjmując ziemię, na której on leży, składa ją po bokach trupa; tym sposobem ciało ciągle się usuwa na dół, a gdy się już znajdzie pod powierzchnią ziemi, owad, którego nie było widać przez cały przeciąg czasu, wylazi i zasypuje kreta miękką, zebraną na bokach ziemią.

Mówiąc o pająkach, zapomnieliśmy powiedzieć o pająku mularzu, zwanym ptasznikiem (*mygale*). Mieszkania ich są obszerne i wygodne, i zamykają się drzwiczkami chodzącymi na zawiasach. Celem postawienia budowli ptasznik wygrzebuje w glini stymgruncie walcowatą dziurę, i ściany jej powleka mieszaniną wapna z piaskiem. Następnie układa warstwy gliny i pajęczyny naprzemian, i tworzy z nich wieko, zupełnie odpowiednie utworowi



wylepionej dziury, jednakże tak, że tylko na zewnątrz otwierać się może; wieko takie składa się przynajmniej ze czterdziestu warstewek gliny i pajęczyny. Zawiaski, na której drzwiczki są przyczepione, są przedłużeniem warstewek przędzy, które od jednego punktu na obwodzie drzwiczek spadają na ściany gniazda i tam tworzą miękkie wyścielenia, na których ptasznik odpoczywa. Zewnętrzna powierzchnia wieka jest chropowata i na wejrzenie nie różni się od otaczającej ją ziemi; ale powierzchnia wewnętrzna jest gładka, z wyjątkiem jednego miejsca dziurkami opatrzonego, w które ptasznik wpuszcza swe hakowate żuwaczki dla przytrzymania wieka przed nieprzyjacielem, przemocą je otworzyć usiłującym. Ptasznik, którego przysłano mi z wyspy Kuby, miał 22 centymetrów długości, a nie był jeszcze z największych.

Można nazwać cieślami wszystkie te owady, które za pomocą swych mocnych szczęk krają drzewa, karmiąc się niem lub budując w nich małe sale, podzielone na przegrodki, w których lokują swe młode potomstwo. Jako przykład ogromnych szkód, zrzadzanych przez te owady, przytoczę fakt, że gąsienica owadu *Phalaena bombyx pini* pojawiła się w leśnictwie rządowym wrocławskim w 1871 roku i z 12 tysięcy morgów lasu 2119 morgów tak uszkodziła, że potrzeba było przystąpić do ich wyrabiania.

Gąsienica jednego z motyli nocnych, zwanego *Cossus*, ma około pięciu cali długości i grubość palca. Owad ten wywierca w wiązach długie i kręte galerye, które niszczą czasami całe lasy wiązów.

Są pszczoły, zwane stolarzami, koloru błękitnego, i co do wielkości podobne do trutniów; te kierowane instynktem macierzyńskim, atakują belki, wierząc w nich długie galerye, mające czasami do piętnastu cali długości. Gdy już galerya gotowa pszczoły składają w niej swe jaja. W tym celu dzielą galeryę na tyle pokoiów, ile złożono jaj. W każdym pokoiku pszczoła składa jedno jajko, i przed zamknięciem nanosi miodu i pyłku kwiatowego w ilości dostatecznej dla młodej gąsienicy. Potem z drzewa i śliny robi przegrodkę, która oddziela pierwszy oddział od następnego. W galeryi takiej zawsze znajduje się około piętnastu pokoiów oddzielnych, zawierających jedno jajko i skład pożywienia. Gdy gąsieniczka wykluje się z jaja, zjada pokarm, który jej matka zostawiła, i obwinawszy się w przędzę, staje się poczwarką. Gdy się owad rozwinie zupełnie, przegryza przegrodki, znajdujące się na drodze, wylatuje i wkrótce zaczyna pracę matki swojej.

Doskanalym krawcem jest znany wszystkim mól, ten mały i piękny srebrzysto-szary motylek. Gąsienica jego robi sobie przechody w materyach wełnianych, szybko je przegryzując. Z odgryzionych odrobin tworzy następnie rurkę, którą ustawicznie przedłuża, i rzecz szczególna, ilekroć sama skutkiem wzrostu zgrubieje tak, że rurka staje się dla niej ciasną, rościna ją wzdłuż i rozszerza wstawieniem nowej sztuki.

Wiele gąsienic robią sobie strzechę, zwijając liście i pajęczyną je szczepiając. Pełno takich znajdujemy w ogrodach naszych, na krzakach bzu, porzeczek, na dębie. Inne owady wodne, dla ochrony od ryb i żab robią sobie mieszkania z kamyczków drobnych, klejąc je cementem swego wynalazku. Lecz najciekawszą jest gąsienica, która wywierca sobie pomieszkanie w ołowiu. Marszałek Vaillant przedstawił francuzkiej akademii nauk wiele kul, które w czasie krymskiej wojny były przedziurawione przez owady nieznanne dotychczas.

Osy budują swe gniazda przerabiając za pomocą swych szczęk i śliny drobne opiłki starego drewna na gatunek masy, mającej wiele podobieństwa do bibuły. Z materiału tego tworzą plastry, złożone z sześciokątnych komórek. Plastry te leżą równolegle względem siebie w odległościach wymierzonych i jeden nad drugim podparte słupkami, łączącemi je w całość, która mieści się już to na gałęzi drzewa, już w pniu spróchniałym, a nawet w ziemi, i jest według gatunku albo nieokryta, albo wspólną otoczona powłoką.

Nim zakończymy te długie wyliczenie zmyślności owadów, której dotknęliśmy tylko bardzo pobieżnie, powiemy o podwodnym mieszkaniu pająka wodnego, zwanego Najadą. Owad buduje domek z pajęczyny i przyczepia go do traw wodnych za pomocą tegoż materiału. Tam prześiaduje zimę i wychowuje swe potomstwo, wychodząc tylko wtedy, kiedy go głód do tego przymusi. Oddychając jak inne zwierzęta, pająk ma potrzebę robić zapas powietrza w swem podwodnym schronieniu. W tym celu owad wychodzi na powierzchnię, porusza włoskami pokrywającemi całe jego ciało i drobne kulki powietrza osiadają między włoskami ułatwiając mu pływanie; Najada wciąga brzuch do środka i zanurzając się zabiera kulkę powietrza, którą zanosi do swego mieszkania; pajaczek tyle razy powtarza swoją podróż aż domek jego napelni się zupełnie powietrzem, które wypiera wodę.

*Dr. J. Stella-Sawicki.*



# WIESZCZ

U P O D N Ó Ż A A K R O P O L U.

## I.

Już północ, z gwiazd orszakiem stąpa księżyc blady  
Po łąkach empireju, i rozpędza mroki;  
Pogrążony w letargu marzy gród Pallady,  
I Akropol, śni także na szczycie opoki.  
Cicho wszędzie, bez głosu, ludzie i obszary;  
Świat w marzeniu zatonął, słycać tylko w dali  
Powiewow szelest cichy, szmer tajemny fali.  
I gwar jakiś, nad inne uroczywszy gwary;  
Rzekłbyś, Ruin westchnienie, tej krainy cudów  
Co półgłówną pieśń sławy swych rycerskich ludów  
Nuci tym, co ją pojąć i ocenić zdolni,  
I jak niegdyś ich ojce, pragną istnieć wolni.

O! są jeszcze, są jeszcze, wybrani wśród wielu,  
Których ogień niebieski przenika i grzeje;  
Którzy torem wysokim, do szczytnego celu  
Dążą, by wielkim czynem, ojczyzny swej dzieje  
Wzbogacić, i swe imię przekazać na wieki  
Pokoleniom, płynącym z biegiem czasów rzeki.  
O! są tacy!.. gdy przemoc ich zewsząd przycisnie,  
Chociaż kłamstwem pozoru myślą wrogów oko,  
Skoro chwila nastanie, duch ukryty błysnie,  
Rostoczy się pożarem odwetu szeroko,  
Powstanie, strzeli gromem, dosięgnie, zwycięży,  
Skruszy jarzmo nieznośne, które na nim cięży,  
I na gruzy pomników, na spalone grody  
Zatknie sztandar ojczyzny, piejąc hymn swobody!

Grecyo! któryż z twych synów, nie zwalczy Centaurów  
W twej obronie, gdy jego twe hasło powoła?  
Pod twem niebem promiennem, jeszcze lśni liść laurów;  
Na twej ziemi, są jeszcze godne lauru czoła!  
Zewsząd tryska zdrój święty górnego natchnienia,  
Co twych synów w rycerzy i w półbogów zmienia;  
Tam, Olymp! góra Zewsa, i bogów dziedzina;  
Ówdzie Tajget wysoki, i Hymetu szczyty,  
Parnas, brząca przed wieki lutnią Apollina,  
Dziś, milczeniem owiany, żałobą okryty!  
To pole, to Maraton! ten jar, Termopyle!  
Ten strumień, to Skamander! pod zasłoną trzciny  
Dalej płacze Eurotas, na Sparty mogile,  
I gwarzą hymn Przeszłości wody Salaminy!..  
Kędy spojrzysz, kolumny, w gruzach sarkofagi,  
Marmurowych portyków zgruchotane szczątki,  
Pyły sławy, wielkości!.. które, od zniewagi  
Skrywa geniusz Hellady, pod szatą pamiątki.

Spytaj go, on opowie, kto tu żył, umierał,  
Walczył, wznosił, obalał, czyjej stopy ślady  
Wicher czasów i zdarzeń, zmiatał i zacierał,  
Czyje rozwiął popioły w otchłani zagłady.  
On opowie, lecz poco trudzić się pytaniem?  
Dokoła widne piętna geniuszu i sławy;  
Wielkie imię zabłysło, drugie śladem za niem  
Jak meteor, rzuciło swój połysk jaskrawy;  
Sto imion, wystrzeliło nad poziomy gminu,  
To, do miecza przyłgnęło, to się z dłutem zrosło,  
Inne, pędzłem, lub lirą, dosięgło wawrzynu,  
W słońce się rozżarzyło, w olbrzyma wyrosło.  
Echo jaskiń, pierś ruin, usta rzek, strumieni,  
Powiewy balsamiczne, błędzące w przestrzeni,  
I serca synów Grecyi, trącone natchnieniem  
Wzywają uroczystem i błagalnym brzmieniem  
Wielkich imion, swej dawnej, bohaterskiej doby,  
Wielkich imion Hellady! by nad zgłiszczą, groby,  
Geniusz sławy rodzinnej, promiennymi pióry,  
Z dzwiewczną pieśnią tryumfu, wzbił się znów do góry.

O! na hasło tej pieśni, pieśni odrodzenia,  
Powstałyby na nowo, z popiołów zniszczenia  
Dawne kształty, olbrzymiej, przeszłości budowy!  
Znowu, jakiś Milcyades, lub Temistokl nowy  
Potęgą swego ducha, zgoiliby blizny  
Pod ciosem tylu nieszczęść mdlejącej ojczyzny!  
I Parnas, dzisiaj niemy, otoczony mrokiem,  
Otrząsłby, tylu wieków samotności, kiry,  
Zaszumił znów cudownym Hippokreny stokiem,  
I hasłem uroczystem poświęconej liry  
Pobudziły do pieśni, pierś nowych Homerów  
Wcześć wznowionej swobody i jej bohaterów!..

## II.

Gród Cekropsa uspiiony, pod nieba zasłoną;  
Księżyc, żywo przyświeca, gwiazdy żywo płoną,  
I Akropol, jak skała wieków oceanu,  
Niewzruszony naporem zdarzeń huraganu  
Na barkach góry, duma swą dumę przeszłości,  
Smutnie patrząc na ludzi, i świat, z wysokości.

U stóp jego Wieszczy marzy, syn górnych polotów  
Wyobraźni, i ducha, a więc bogów dziecię;  
Nienawistny był jemu nikczemnych ilotów,  
Karłów sercem, co dzisiaj rej wiodą na świecie.  
On wyrwał się z ich tłumu, wzgardził ich przywarą,



Uniósł, dalej i dalej, uczuć swych klejnoty,  
I sam jeden, ze smutkiem, miłością i wiarą,  
Wdziął na czoło szlachetne natchnień wieniec złoty.  
I lżej mu się zrobiło, weselej na życiu,  
Częściej, dźwięczniej, swobodniej, hymn wypływał z łona,  
Rozgłośniej brzmiała lutnia, wrażeniem natchniona,  
Co przy ludziach drzemała tak długo w ukryciu.

H Y M N.

Powstańcie z grobów cienie!.. i przemówcie słowo!  
Wy, ojcowie Hellady, mędrce, bohaterzy,  
Prawodawce narodów, ożyjcie na nowo,  
I górne opuście sfery!

Usta wasze niech zabrzmia, serca niech uderzą,  
Żrenice niech zapłaczą, ach! bo płakać warto!  
O! Grecy! tyś żałobną okryta odzieżą...  
Bo cię z godowej odarto!  
Tylko laury zostały, wiekuiście, święte,  
Ozdoba twoich skroni, tych skruszyć nie śmiano;  
I ludźmi niezgwałcone, i wieki nietknięte,  
Nieskazitelne zostaną!

Tyś smutna, i koronne opuściłaś czoło  
Jakby dumy boleśnej ciężarem zwalczona...  
Co wyrzekły twe usta?... i czego w około  
Szuka, łzą oko omglone?..

Pragniesz pieśni tryumfu?.. hymnu odrodzenia?  
Radabyś, z gruzów życie wywołać, i ducha?..  
Rzeknij „Stań się!” a niby w pierwszym dniu  
stworzenia,  
Skinienia, Chaos, posłucha!

I ujrzysz, jak się z pyłów wielkości rozgromu  
Nowe kształty utworzą, jak w nich zadrga życie,  
Jak z popiołów przeszłości, orzeł, strażnik gromu  
Wzleci i zagrzmi na szczycie!

Powstań więc! czas po temu, podaj czynu hasło!  
Niech od końca do końca, echo je rozdzwoni.  
Ognisko jeszcze dawne w sercach nie wygasło!  
Laurom, nie zabraknie skroni!

Znajdą się umy dzielne, i dzielne ramiona,  
Myśl odwetu, w czyn przejdzie, mieczem archanioła  
Błysznią Grecy! twe syny, i pod twe znamiona  
Swoboda, sławę powoła!

I Olympu, milczące znowu zabrzmia szczyty,  
Gór Lokrydy parowy, Tessalii doliny,  
Powtórzą hymn tryumfu, stokrotnie odbity  
Maratonu, Salaminy!

Powstańcie z grobów cienie! praojców Hellady!  
Wasze imie, jak piorunu, niech zagrzmi nad wrogi!  
Temistokle, Konony, Perykle, Milcyady!  
Przestąpcie Wieczności progi!

Wzywam was! wzywam—przebóg! cud stał się! już lecą!..  
Lecą długim szeregiem, śmiertelne całuny  
Przy księżycu połysku, śnieżnym blaskiem świecą...  
Zamilczcie, o! wieszczce struny!

Nie do lutni nam teraz! nie do pieśni pora!  
Przyjdzie czas dla Orfeja, przyjdzie dla Amfiona;  
Achillessa miecz pierwej, pogromcy Hektora  
Niech dzieła sławy dokona.

Hej! kto żyje! kto czuje! kto zapałem dzielny!  
Kto ma serce, dłoń, oręż i kto Grecy synem,  
Niech spieszy, teraz pora stoczyć bój śmiertelny!  
Uwieńczyć skronie wawrzynem!

Opuście wasze lasy, i skały, i jary,  
Jako orłów roj groźny, jak stado sokole,  
Klepty! wolne lwy szczytów! mężne palikary!  
Wojownicze armatole!

Przewodniczyć wam będą ojców waszych duchy,  
Rycerzy Termopilów, Platei, Graniku;  
Przeklęty! kto na hasło ich zostanie głuchy!  
Nie stanie z braćmi do szyku!

Przeklęty!.. lecz nie... takich, nie rodzi Hellada!  
Podłość się pod jej niebem cudnem nie wylęga;  
Gdzie Olymp, Parnas, Pelion, tam duch nie upada,  
A rośnie i górnice sięga.

Niechaj rośnie i sięga! nad gmin niech wylata,  
Co się czołga w spodlenu i mrokiem napawa;  
Temu tylko co stąpał po wyżynach świata  
Dostępne, wolność i sława!

BERLICH SAS.






W STOLETNIĄ ROCZNICĘ USTANOWIENIA KOMISYI EDUKACYJNEJ.



## W stoletnią rocznicę ustanowienia Komisji edukacyjnej.

 przededniu obchodu, jakim kraj cały a przede wszystkim Towarzystwo nasze pedagogiczne święcić będzie pamiętny dzień 17. lipca r. 1773, dzień ustanowienia przez reprezentacyą narodu Komisji, której przypadło zadanie wychować Ojczyźnie lepszych pokoleń niż owo, co właśnie podówczas zaprzepaszczowało cnotę i swobodę ojczystą — w przededniu tem słuszną będzie rzeczą przypomnąc czytelnikom naszym wybitniejsze momenta dziejów tejże Komisji, jak mianowicie genezę jej powstania i sposoby, a oraz owoce jej gorliwej, obywatelskiej działalności. Wspomnienie to wywołać musi w sercach patryotycznych miłą otuchę, że społeczeństwo, które w chwili najsromotniejszego upadku swego, obok sejmowań Ponińskiego i spisku Targowiczańskiego wydało taką Komisją edukacyjną, społeczeństwo to nie ze wszystkim jeszcze uległo pierwiastkowi rozkładu, niezupełnie jeszcze sprzyniewierzyło się powołaniu swemu narodowemu, i w obliczu Opatrzności wykazać się może prawem do dalszego udzielnego bytu. Cześć mężom, jak twórcy i współpracownicy Komisji edukacyjnej, mężom, którzy zasłużyli sobie miano dawców przyszłości Polski, ojców odradzającej się Ojczyzny!

Szlachetniejsza i niezarażona zgnilizną wieku część narodu wobec widocznie zbliżającej się katastrofy zrozumiała, z kąd czerpać należy siły i środki do odrodzenia. Już Stanisław Konarski kilkadziesiąt lat przedtem zwracał uwagę narodu na potrzebę zreformowania i podniesienia publicznego wychowania, jakoż wiele zmian pożytecznych w tym kierunku przeprowadził. Sam pomysł powierzenia narodowej edukacji komisji, osobno do tego mianowanej, przypisują powszechnie Joachimowi Chreptowiczowi, podkanclerzemu litewskiemu, który ułożył plan cały ustanowienia takiej komisji i podał go królowi Stanisławowi Augustowi, a tenże znalazłszy plan wyborym, zachęcił Chreptowicza, aby go przedłożył na sejmie. Oddać też trzeba sprawiedliwość nieszczęsnemu z kądinąd królowi, iż osobiście nietylko gorliwie popierał projekt Chreptowicza, ale wszelkimi sposobami wspomagał Komisją w jej trudnem zadaniu, z własnej szkatuły częstokroć opędzając koszta podnoszenia szkół i zaopatrywania takowych w środki naukowe.

Oto uchwalony przez sejm d. 17. lipca r. 1773 wniosek Chreptowicza:

„Ustanowienie Komisji nad edukacyą młodzi narodowej dozór mającej.

„Ponieważ Ojciec święty przez wydaną do wszystkich państw chrześcijańskich bullę, niebawnie w państwach Rzeczypospolitej publikowaną być mającą, skasował in-

stitutum zakonu X. X. Jezuitów, którzy w kraju większą część funduszów na edukacyą młodzi destynowanych i większą część edukacyi za dozwoleciem Rzeczypospolitej wielu konstytucyami nadaniem utrzymywali; więc, żeby z tych okoliczności Rzeczpospolita tak co do edukacyi młodzi krajowej, jakoteż co do dóbr i majątków nie ponosiła uszczerbku, takowe czynimy rozrządzenie:

„1) Ustanawiamy Komisją w Warszawie odprawiać się mającą do edukacyi młodzi szlacheckiej pod protekcyą J. K. Mości P. N. M., do której ex senatu et ministerio Wielebnych W. W. i U. U. Ignacego Massalskiego, biskupa Wileńskiego, Xiążęcia Poniatowskiego, biskupa płockiego, Sułkowskiego, wojewodę gnieźnieńskiego, Chreptowicza, podkanclerzego litewskiego; ex ordine equestri Ignacego Potockiego, pisarza litewskiego, Księcia Adama Czartoryskiego, generała ziem podolskich, Andrzeja Zamojskiego, kawalera orderu orła białego, Ponińskiego, starostę kopanieckiego wyznaczamy. Ta Komisya pod prezydencyą wzmiankowanego Wielebnego IMCI Księdza biskupa wileńskiego, lub in absentia jego pod prezydencyą pierwszego ex ordine komisarzy odprawiać się będzie. Funkcyja komisarzy teraz wyznaczonych do sejmu ordynaryjnego 1780 r. trwać ma, a na ów czas, gdy się stanom Rzeczypospolitej tak zdawać będzie, ciż sami potwierdzeni, albo odmienieni per sexennium tę funkcyę sprawować będą; w przypadku śmierci na którego z komisarzy albo złożenia komisarstwa per recessum officiosum od niego, J. K. M. Pan N. M. inszego sposobem przepisany dla Komisji skarbowej i wojskowej w konstytucyi 1764 r. substituere zechce; odtąd tedy wszystkie generalne akademie, gymnazia, kolonie akademickie, szkoły publiczne, żadnych nie wyłączając, z tem wszystkim, co tylko do wydoskonalenia nauk i ćwiczenia w nich młodzi szlacheckiej ściągac się może, pod dozór i rozrządzenie Komisji tej oddajemy, oraz ordynacyi ułożenie względem czynności jej do aprobacyi albo poprawy przez nas zlecamy.“

Dalsze postanowienie tejże samej ustawy wyznacza Komisją lustracyjną dóbr pojezuickich i sposób utworzenia z takowych funduszu edukacyjnego. Nadmienić tu jeszcze należy, że oprócz przytoczonych wyżej członków Komisji edukacyjnej, do składu jej przybyli później: Michał Mniszech, sekretarz W. X. Litewskiego; Jacek Małachowski, referendarz koronny; Jędrzej Mokronowski, gen. inspektor wojsk kor.; Franciszek Bieliński, starosta czerski; Maciej Poraj Garnysz, biskup chełmski; Michał Książę Radziwiłł, kaszt. wil.; Antoni Małachowski, wda mazow.; Ignacy Przebendowski, marszałek Rady nieustającej; Stanisław



Poniatowski, G. L. W. koron.; Gaspar Cieciszowski, bisk. kijow.; Ludwik Gutakowski, podkom. w W. Ks. L.; Antoni Lanckoroński; Julian Niemcewicz; Felix Oraczewski. Józef Łukaszewicz w znakomitej swej „Historji Szkół“ przytacza następujące szczegóły o wewnętrznym ustroju Komisji edukacyjnej:

Członkowie Komisji nie brali żadnych pensyj. Odbywali sesje swe dwa razy w tygodniu w Bibliotece Załuskich. Co kwartał osądzała Komisja sprawy, dotyczące się funduszków edukacyjnych; co półroczu odbierała sprawozdania o wszystkich szkołach, roztrząsała je, robiła nad nimi swoje uwagi, załatwiając natychmiast to wszystko, co według raportów wizytatorskich niezwłocznego załatwienia wymagało. Sekretarzem tej wiekopomnej Magistratury był uczony jezuita Grzegorz Piramowicz, a w biurze jej pracował nasz znakomity pisarz dramatyczny Franciszek Zabłocki. Ostatnie posiedzenie Komisji edukacyjnej odbyło się dnia 10. kwietnia r. 1794. Znajdowali się na niem: Książę Michał Poniatowski, prezes; Andrzej Gawroński, kanclerz katedry krakowskiej; Wojciech Skarżewski, biskup chełmski; Hieronim Strojnowski, kanonik kijowski i Mikołaj Wolski.

W krótkim stosunkowo czasie, bo w lat dwadzieścia zaledwie, Komisja w istocie dokonała olbrzymiego dzieła, nie tylko bowiem wydzwignęła z upadku i rozprzężenia szkoły istniejące, ale mnóstwo założyła z gruntu, postarawszy się jednocześnie o biegłych a sumiennych nauczycieli, dobre książki szkolne i przybory muzealne. Pomimo licznych grabieży, przez osoby prywatne dokonanych na funduszu edukacyjnym w czasie egzekwowania takowego od Jezuitów, Komisja rozrządzała bardzo znacznymi stosunkowo funduszami, takowe wynosiły bowiem w samej gotówce przeszło półpięta miliona złotych. Przy liczej wszakże administracji i chciwości kontrybuentów miliony przepadały bezpowrotnie dla dobra publicznego. Z tem wszystkim nauczyciele nie mogli podówczas użalać się na swe wyposażenie, przeciwnie, dotowani byli tak, jak może nigdzie w Europie, w stosunku zaś do praktykowanego dziś u nas wynagrodzenia nauczycieli, honorowani byli w istocie po królewsku. Dla przykładu przytoczymy tylko, że profesorowie akademii krakowskiej i wileńskiej pobierali od 8 do 10 tysięcy złotych rocznej pensji, co, zważywszy łatwe w owych czasach warunki życia, dorówna wartości dzisiejszych 8 do 10 tysięcy reńskich austriackich. A czyliż mamy dziś profesora, chociaż wielu jest bardzo znakomych, profesora, któryby pobierał bodaj połowę owych sum jako roczną pensją?

Jedną z najpierwszych czynności Komisji edukacyjnej było ustanowienie na wniosek Ignacego Potockiego t. z. „Towarzystwa elementarnego“, którego obowiązkiem było pisać lub oceniać przez innych napisane książki szkolne. Towarzystwo to wezwało uczonych w kraju i zagranicą

do pisania książek szkolnych, wyznaczając autorom znaczne nagrody. Tym sposobem dano podstawę i kierunek nauce w zreorganizowanych szkołach, podzieliwszy takowe na okręgi czyli „wydziały.“ Komisja ustanowiła sześć takich wydziałów w Koronie, cztery zaś w Litwie. Jednocześnie przeprowadzono reorganizację akademii krakowskiej i wileńskiej, które to zadanie spełnił przeważnie znakomity nasz Hugo Kołłątaj, a spełnił tak, że już w lat kilka po zreformowaniu instytutów owych, zajaśniały one jako pierwszorzędną ogniska oświaty. Nie zapomniano też o stanie nauczycielskim, który trzeba było prawie stwarzać dopiero, ile że ze zniesieniem zakonu Jezuitów ustąpiła większa część nauczycieli dawniejszych, a z osób świeckich mało znalazło się przysposobionych do stanu nauczycielskiego. W pierwszej chwili zaradzono brakowi w ten sposób, że poobszadzano katedry szkół wydziałowych zdolniejszymi uczniami akademii krakowskiej, ażeby zaś na przyszłość się zabezpieczyć w tej mierze, założono w Krakowie i Wilnie tak zwane seminaria nauczycielskie, o kursie trzyletnim, do których przyjmowani byli i utrzymywani kosztem publicznym młodzi ludzie, którzy z odznaczeniem ukończyli szkoły wydziałowe. Plan nauk, oraz wewnętrzny porządek szkolny ujęła Komisja w ścisłe przepisy, które pod niejednym względem służyć mogą za wzór i dziś jeszcze każdemu szkolnictwu. Jak zaś pojmowała szafarstwo wiedzy i cel wszelkiej oświaty, okazują n. p. takie ustępy wspomnianych przepisów:

„Czas edukacji całej w przeciągu lat 12 zamykaćby się powinien, a zatem od lat 4 lub 5 dzieci powinny zaczynać pierwiastkową swą edukacją, aby w roku 17 lub 18 mogły być już do usług Ojczyzny użytecznymi. Równość wszelkiej kondycji między dziećmi utrzymawać, dystynkcyą osób zachowawszy z przymiotów i aplikacyi. pomnąc, iż dzieci szlacheckie równie jak chłopskie niczem innem nie są w społeczności tylko dziećmi.“ Albo takie wskazówki: „Nie bojaźnią, ale własną jaką dziecięcą potrzebą prowadzić go do powolności, inne wszystkie sposoby są zabronione, a tak posłuszeństwo jego będzie roztropne, nie ślepe i podłe. Nie odbierać dziecięciu wolności, tylko gdy jej źle zażywa z swoją lub drugiego krzywdą, a tak jej smak i szacunek wczesnie da się mu poznać.“

We wszystkich zarządzeniach Komisji edukacyjnej przebija nie tylko owa wielka mądrość, co obrany cel godzić umie z danymi warunkami, ale przede wszystkim wysoki nastrój patriotyczny i miłość najtkliwsza dla młodzieży. Widocznie uczuwało to dobrze czcigodne grono mężów, zgromadzające się w Bibliotece Załuskich, że powierzona mu młodzież, odbierająca w spadku po ojcach ruinę polityczną i narodową, jak każda sierota zasługuje na tkliwą opiekę, i że nadzwyczajnej potrzeba pieczołowitości, by przez nią ocalić dla przyszłości ideał narodowy.



A niemało też trudności miała Komisya do pokonania, nim choć w części usiłowania swe ujrzała uwieńczone w rzeczywistości. Z jednej strony bowiem uprzedzenie i wstręt objawiany tu i ówdzie do nowego systemu wychowania, z drugiej trudności w wyszukiwaniu środków fachowych i bądź co bądź niedostateczność funduszów, wreszcie opłakany stan polityczny narodu, na każdym nieledwie kroku stawiały zapory jej działalności. Tem chlubniejsze więc w dziejach naszych należy się jej miejsce, że działając dla dobra publicznego—walczyła i przebojem przeprowadziła swe dzieło.

Kilka dat-statystycznych wykaże nam najlepiej owoce patriotycznych zabiegów Komisji edukacyjnej, jej niezrównanej gorliwości o los wychowania publicznego. Oto np. w samej ziemi wieluńskiej około r. 1790 istniało 43 szkółek elementarnych, do których uczęszczało 1368 dzieci płci obojej. Ziemia ta liczyła podówczas około 40,000 mieszkańców, pomiędzy tymi do 3000 protestantów i żydów, nieposyłających dzieci swoich do szkółek katolickich; zatem każdy 27 człowiek odbierał tam wychowanie elementarne. Stosunek ten bezwątpienia musiał być jeszcze lepszy w ziemiach krakowskiej, poznańskiej, płockiej itp., jako pokrytych znaczniejszymi miastami. Około tegoż roku liczono w Koronie i W. Ks. Litewskiem szkół wyższych, czyli wydziałowych, odpowiadających naszym „średnim“, oraz akademiom, seminaryom i zakładom sztuk pięknych, ogółem 97, oprócz kilku prywatnych, na ludność ośmiomilionową; stosunek imponujący zaprawdę i najwymowniej świadczący o zasługach Komisji edukacyjnej. Nawiasem tu nadmienimy, że oprócz tych szkół, kosztem funduszu edukacyjnego utrzymywanych istniały do r. 1785 szkoła buchalteryi i miernicka, założone przez Tyzenhauza w Grodnie. Była w Grodnie także szkoła budownictwa pod kierunkiem włocho Sacco, która także upadła w tym czasie. Liczba nauczycieli we wszystkich szkołach wyższych wynosiła około 700. W żadnym kraju około roku 1792 jak upewnia Łukasiewicz, nie było stosunkowo tyle szkół co w Polsce, w tej samej Polsce, która jeszcze 20 laty

przedtem daleko pod tym względem pozostawała za innymi społeczeństwami. Co to zdziałać może dobra wola i patriotyzm kilku obywateli!

W najpóźniejsze pokolenia przyświecać będzie praca Komisji edukacyjnej jako przykład w swoim rodzaju jedyny gorliwości obywatelskiej około sprawy dobra publicznego, a Towarzystwo nasze pedagogiczne, które wiele już złożyło dowodów, że pojmuje dobrze stanowisko swe w obec kraju, snać przejęte jest duchem, jaki ożywiało Kołłątajów, Piramowiczów, Ignacych Potockich, Popławskich — skoro w cześć ich podjęło obchód 17. lipca. Daj Boże, by w lat sto szczęśliwsze pokolenie naszego narodu czcilo podobnie jubileusz założenia Towarzystwa pedagogicznego, aby je czcilo w mieście i w każdej szkółce wioskowej, przy współdziałaniu wszystkich powołanych do stołu tego bożego — oświaty. Możemyż żywić nadzieję takiej radośnej chwili naszych potomków?

Serce mówi wyraźnie: możemy! Dobrej woli tylko i wytrwałości. Już dzisiejszy obchód święcą wraz z nami w niejednej szkółce wiejskiej, w niejednej chacie czczą pamięć Kołłątajów...

Na takim tle osnutym obrazkiem, w rycinie na stronie 200 obchodzi „Strzecha“ pamiątkę ustanowienia Komisji edukacyjnej. W szkole wiejskiej pod Krakowem pana M. Konstantynowicza, znanego i niezmordowanego na polu oświaty ludowej pracownika, uczniowie, dorośli już, parobcy i dziewczęta, starsi nawet wiekiem włościannie, składają w obecności świadków egzamin z odbytej nauki czytania i pisania. To przecie nie obrazek „przyszłości“ — a jakże wymownie, jak godnie przypadł na jubileusz 17. lipca!

Nadmienić tu należy, że rycina powyższa jest rysunku Juliusza Kossaka, drzeworyt zaś wykonała p. Zofia Widman; a co tem chlubniej świadczy o talencie i pracy pani W., iż po kilku zaledwie miesiącach kształcenia się w drzeworytnictwie umiała złożyć dowód takiej biegłości w tej sztuce.

Lwów 16. lipca 1873.

BRONISZAW KOMOROWSKI.

## Przechadzki po wystawie powszechnej w Wiedniu r. 1873.

przez A. S.

### I.

Przypuśmy, że wystawa jest już gotową. Udajemy się zatem na zwiedzenie jej, bez przygotowania i bez planu z góry powziętego, a to z dwóch powodów: najpierw, ażeby sobie zdwoić przyjemność przez niespodzianki, których przecież można się spodziewać, a powtóre w przekonaniu, że w tem sztucznie stworzonym mieście, które ma całą ziemię reprezen-

tować, znajdziemy zapewne taki wzorowy porządek, rozkład i napisy, że nie pobłądzimy.

Tramwayem, to jest konną koleją dojeżdżamy za 20 ct. pod sam plac wystawy, legitymujemy się przy turniketach, to jest przy kołowrotach, naznaczających ilość gości codziennych, kartą wydawaną dla sprawozdawców dziennikarskich, i



wstępujemy w obręb zaczarowanego świata, stworzonego za 15 milionów zakredytowanych przez rząd austriacki i za liczne miliony wydane przez obce państwa i wystawców. Jestżeto produkcyjny wydatek, czy się oplaci? czy przyniesie odpowiednie moralne lub materialne korzyści? Odpowiedź na te pytania musimy odłożyć na później. Teraz nie mamy na to czasu, a może jeszcze i dostatecznych dowodów.

Jesteśmy w parku, przed nami ogromne place, tu i ówdzie stawy, na nich łabędzie, a z głębi wody biją wielkie fontanny. Wiatr roznosi chłód i ożywcze krople i skrapia niemi szerokie murawy, które wraz z ulicami z drzew nadają właśnie temu targowisku pozór parku. Miejsca było dosyć, nie żalowano go, to też wystawa obszarem i rozmiarami przewyższa znacznie ostatnią paryską wystawę, lecz wartość tej wyższości musi umniejszyć uwaga, że tam na polu marsowym nie było pustych placów, i długich chodników wysypanych żwirem kaleczącym nogi, ale wszelakie miejsce było istotnie dla wystawy spożytkowane, każdy chodnik, każdy mostek był wystawą.

Upał doskwiera, więc kierujemy się do cienia, gdzie więcej drzew, zachodzimy na krańce wystawy, i zamiast hałasu i turkotu wielkiego świata znajdujemy się w pośród sielanki, dochodzi nas dym z chat wieśniaczych, ryk krów i zapach świeżego mleka. Rozglądamy się zdziwieni, co to ma znaczyć? i dowiadujemy się, że dostaliśmy się do oddziału, w którym zamierzono przedstawić sposób życia ludu wiejskiego. Jest tu chata słowacka, kroacka, rumuńska, ruska z Galicji, gaydelska z okolic Pressburga, chaty Saksonów i Szeckłów siedmiogrodzkich, rosyjska, z Vorarlbergu . . . . a w każdej całe urządzenie domowe, sprzęty, naczynia. Tylko jedna z nich jest pokryta słomą, galicyjska; biedna ona, niska, a przecież i ta jest nieprawdziwa.

Bodajby to lud nasz ruski miał choć takie chaty, schludne, o kilku świetlicach, widne, zabezpieczone, a nie owe gliniane, porośnięte grzybami, a służące chyba myszom za wygodne schronienie w wydrążeniach ścian. Co za cel takiej wystawy? ja nie wiem; może to dla etnografów. A ów dom piętrowy, z gankiem naokoło, niby chata z Vorarlbergu, a toć gdyby u nas szlachcic miał taki dworek, nazywałoby się to w okolicy pałacem. Więc tak zasobnie i wygodnie tam lud mieszka? Kto chce, niechaj wierzy.

W stajni wzorowo urządzonej spoczywają tu bydła z różnych prowincyj, są tu i krowy br. Romaszkana z Horodenki. Obok stajni jest gospoda miejska, tak zwane Majerei. Po wiedeńskiej t. z. kawie, zabiłonej jakimś surogotem, wartoby tu pokrząpić się świeżem, prawdziwym mlekiem, ale ostrzegam, że szklaneczka kosztuje 15 ct., kwarta wyjdzie na 80 ct.

Dajmy pokój sielance, chodźmy dalej. Tu budynek nieskończony, zamknięty, będzie to wystawa sanitarna, to jest służby zdrowia i ratunku w wojnie; jakoś pod sam koniec dopiero o tem pomyślano. W pobliżu niby kościół jakiś, to będzie pawilon dla malowania na szkle, głównie kościelnego, a w nim pomieszczają się wystawcy, którzy dotąd jeszcze przedmioty swoje w pakach muszą trzymać.

Z drzewa budulcowego, z przekrojów pni ustawiono grupy, piramidy; to galicyjska wystawa leśna, widać, że mamy

pod tym względem znaczne zasoby, ale czy korzystamy z nich należycie? czy staramy się, żeby się zasoby nie wyczerpały? Podobno nasze lasy wykupują i wycinają w pień cudzoziemcy, a u nas za to i przez to klimat staje się coraz gorszym, urodzaje coraz trudniejsze, wiosny już prawie nie mamy.

Utrzymywano, że my powinniśmy na wystawie powszechnej okazać wszystkie nasze bogactwa przyrodzone, surowe płody, wszystko to, co do wywozu za granicę się nadaje. Sądzę, że jest to zdanie fałszywe. Surowe płody są tylko wtedy bogactwem kraju, jeżeli je kraj sam przerabia, jeżeli umie zaspokajać sam wzrastające swoje potrzeby, jeżeli z surowych płodów wyrasta wszelki przemysł i handel wewnętrzny. Naówczas można i wszelki nadmiar wywozić, a przedewszystkiem wyroby własne za obce wymieniać, wyzwolić się materialnie z pod zależności od innych krajów, owszem być dla nich potrzebnym. Inaczej kraj i najzosobniejszy z natury, jak Hiszpania, choćby pieniądze całemi okrętami do niej przyływały, jak to bywało, będzie popadać w coraz większą nędzę materialną i moralne ogłupienie. Prawda, że wywozimy zboże, ale lepiejby było wywozić spirytus, który z Czech sprowadzamy, wywozimy już len, a sprowadzamy płótno i wszelkie płócienka, wywozimy woły, zamiast wywozić mięso, a skóry wyprawiać, które sprowadzamy, wywozimy szmaty, a sprowadzamy papier i tak dalej w nieskończoność. Gdyby wystawa surowych płodów była celem wystawy, to cóżby wystawiły Niderlandy, które mają tyle ziemi, ile jej morzu wydrą, a przecież to najbogatszy może kraj, surowe płody innych krajów przerabia, praca robi go bogatym.

Gdyby szło o surowe płody, toć interesowanych geografia lepiej oświeci, niż oświata, tak jak statystyka, rozszerzenie tej umiejętności, muzea i gabinety stokroć więcej przyniosą pożytku, niż wystawy choćby na olbrzymie rozmiary.

Jakże nikną europejskie drzewa wobec amerykańskich, wszystko tam na większą skalę: i ludzkie dzieła i natura. Otc natrafiamy na rusztowanie, wyciągamy szyję do góry, aby dojrzeć szczytu. To Brazylia ustawia swoje drzewo, ale jakie! Pokrajano pień na kilka części, bo inaczej nie byłoby można przywieźć go. Wewnątrz świdrują otwór, wkładają kliny i tym sposobem ustawia i złożą tego olbrzyma, wysokiego na jakie 6 piąter. Interesująca to zabawka, gdyby nie tak kosztowna. Tuż obok owej sielanki odbyła się już pierwsza wystawa bydła rogatego. Kilku hodowców z Galicji otrzymało medale, ale czyliż choć jeden z nich odniesie ztąd jaką korzyść prócz zadowolenia próżności? Gdybyż jeszcze owe „jury“ premiiowania odbyły się sprawiedliwie, i gdyby koszta ponosił fundusz wystawy, bez narażenia wystawców na wydatki. Można mieć przedsmak, co będzie po premiiowaniu całej wystawy, z tej jednej próbki, która u wszystkich wystawców zostawiła niesmak i zgorszenie. Protekcya, uboczne względy, szykany zamiast ułatwień, nieporządek, oto charakter tej pierwszej wystawy. Jaskrawą ilustracją tego stanu rzeczy stanowi głośny wypadek, jaki spotkał p. Szybalskiego z Mnikowa. Bydło zupełnie zdrowe, krowę i byka zatrzymano mu w Lundenburgu jakoby chore, bo się nie znał na rzeczy wobec tamtejszego pana weterynarza. Dowcipem i podstępem wydobyl je i dowiozł nareszcie do Wiednia. Tutaj znowu te same szykany, przyszło do tego, że mu



krowę zabito. Gdy atoli sekcyja okazała, że nie ma ani śladu choroby, musiano mu byka przyjąć na wystawę. Lecz ulokowano go w kącie tak, żeby go nikt nie był odszukał; nowe walki, sprowadzenie sędziów i wymuszenie nareszcie pierwszego medalu, honor za straty i zmartwienia. Niechaj to posłuży za naukę i zachętę dla tych, którzy w następnej wystawie koni zamyślają wziąć udział. Po co kłaść zdrową głowę pod ewanieldią!

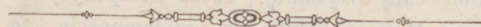
Idąc dalej wśród rozmaitych budynków wstępujemy do hall, w których mieści się wystawa kwiatów, już druga. O pierwszej, którejśmy nie widzieli, spiewały dzienniki wiedeńskie hymny pochwalne, unosiły się nad wonią i czarem barw. Toż samo piszą i o drugiej, tymczasem jest to nieprawda. Wystawa ta jest ubogą, wcale nie powszechną, smutne robi wrażenie. Przecież lato, to pora kwitnienia najpiękniejszych roślin! Tutaj zaś pomiędzy kwiatami nie znajdujemy prawie żadnego okazu, któryby zaszczyt przynosił swojemu hodowcy, i róże małe, powiędle, trochę goździków i pelargonii, toż na to wystawy powszechnej nie potrzeba. Zajmującą jest olbrzymia paproć, której gruby pień, niby wielkie drzewo, składa się z tysiąca obumarłych pni drobnych, na wierzchu wyrasta z nich jedna piękna paproć, mająca pozór palmy. Nierównie obfitszą jest wystawa owoców i jarzyn; pomarańcze i cytryny z Grecyi większe od głowy ludzkiej, truskawki wielkości zwykłych cytryn, szparagi grubości ręki dziecięcej, gruszki jak melony, winogrona zeszłoroczne doskonale przechowane. I tutaj nasuwa się pytanie, jak też stoi u nas uprawa jarzyn i owoców? Wszystkie sklepy w Krakowie i Lwowie sprowadzają jarzyny z Włoch i Algieryi, nawet korniszonów własnych nie mamy, ale z Znaimu, a wszelkie osobliwości z Anglii, podczas gdy to wszystko możnaby mieć własne. Lecz na to trzebaby pracy i pieniędzy, my zaś pracować nie umiemy, mówię to wogóle, a pieniędzy nie śmiemy ryzykować do żadnego przemysłu, wolimy zaprzepaszczać na giełdzie. To porównywanie na każdym kroku wyrobów obcych, z stanem naszego kraju, jaki jest a jaki mógłby być, zatrąwa przyjemność, męczy, psuje humor... Dla wypoczynku, zanim pójdziemy dalej, posłuchajmy oto muzyki Straussa, który ma w parku swoją estradę, posłuchajmy stojąc, bo stołek w parku kosztuje 50 c. choćby za minutę. W nawiasie tu dodam, że toaleta (gabinet d'aisance) kosztuje na wystawie 10 lub 20 ct.;—publicznych nie ma, to także charakterystyczne. Gra ta muzyka różne utwory, a te muszą rozweselić, tak, że nareszcie wśród tej wędrówki pod skwarem słońca, przypomina sobie człowiek grzeszne ciało i postanawia posilić się. Restauracyj jest w parku mnóstwo, można się raczyć po francusku, po amerykańsku, po turecku, po wiedeńsku i t. d. tylko nie po polsku. Musi to być przecież dobry interes, skoro o prawo założenia restauracyi dobijano się ze wszystkich stron. I rzeczywiście w ogródkach i w salach restauracyjnych przez cały dzień mnóstwo ludzi, pomimo bajecznych cen, kelnerzy rady sobie dać nie mogą, piwo leje się beczkami, sherry amerykańskie z lodem wypi-

jają wiedeńczycy słomkami, kawa turecka gęsta, niecedzona jest w modzie... Najtłumniej atoli bywa zawsze w restauracyi piwiarni z Liesing i z Pilsen, które i piwo mają najlepsze i ceny jeszcze najumiarkowańsze. Z Galicyi bierze udział w wystawie kilku piwowarów, dlaczegoż więc żaden z nich np. Sapięha Adam, albo Tenczynek nie założył tam swojej halli z swoim piwem i z polską kuchnią, czyż nie byłby to najlepszy sposób do otworzenia swojemu piwu dróg szerszego odbytu? Zawsześmy niepraktyczni. To też nie ma na całej wystawie jednego kąta, gdzieby się można zobaczyć z polskimi gazetami, jak wogóle wystawcy nasi niewiele dbali o własny język i krajowców. Zaledwo zrzadka położył który z nich polskie napisy na swoich okazach...

Nim pójdziemy dalej, musimy oglądnąć się za katalogami, bo już ten początek wskazuje, że bez przewodnika trudno tu się oryentować. Zwiedziliśmy w przelocie zaledwo część parku, a co chwila musieliśmy się rozpytywać, na to, aby nie otrzymać dokładnego objaśnienia. Udajemy się więc do stołu z drukami, przeglądamy, i nie możemy znaleźć, czego nam potrzeba. Jest katalog generalny austriacki, pełen błędów, są katalogi różnych państw, niekompletne, park nie ma wcale katalogu, osobne działy jak nauki, robót kobiecych i t. p. nie mają jeszcze wcale katalogów... A do stutysięcy Japończyków! których okazy snują się tu i ówdzie w sukniach ozdobionych wyszywaniem w linie białe na niebieskiem, przecież było już czasu dosyć, w dwa miesiące po otwarciu wystawy bodaj katalogi wygotować... Publiczność wogóle obejdzie się bez tego, jej oko wystarcza, ale sprawozdawca potrzebuje ich nawet do przechadzek... Rozmyślając o tem, zaszedłem jakby naumyślnie przed budynki niewybudowane: ma to być powilon perski z facyatą z szkieł ułożonych w desenie, a w pobliżu drugi domek i ogródek japoński.

Jakże żądać już katalogów, gdy tyle rzeczy dopiero ma być.... Nic też dziwnego, że tam, gdzie panuje taka powolność, musiało to, z czem się pospieszono, nieszczególnie wypaść. I tak w powilonie cara rosyjskiego zawaliły się schody, w rotundzie lała się woda deszczowa, toż samo w oszklonych tak zwanych Hofräume...

Ale widzę, że z parku przeskoczyłem nagle do pałacu, a przecież czytelnicy nie zechcą wraz zemną takich ewolucyj próbować. Potrzeba się nam zatem wrócić i stopniowo przebywać kręgi tego świata wystawowego. Gdy przebieżemy wszystkie przestrzenie, będziemy mogli wtedy i bez katalogów zatrzymać się tam, gdzie oko lub myśl zechce. Na dzisiaj zapiszę jeszcze, że sąd wystawowy (jury), już się uorganizował. Z Polaków wchodzi do niego tylko hr. Alfred Potocki w dziale rolnictwa, Rodakowski w dziale sztuki, a Ludwik Wołowski z Paryża w oddziale sztuk graficznych. Rozmaite sekcyje sądu tego międzynarodowego rozpoczęły już czynności, to jest zwiędzają i badają przydzielone im przedmioty. Byłoby i o tem dużo do mówienia, ale... to już kiedyindziej.





# Kronika literacka i artystyczna.

Lwów, w lipcu 1873.

(Jubileusz ustanowienia Komisji edukacyjnej. — Występy gościnne artystów dramatycznych i Opery. — Nowe sztuki i sztuczki. — Rozmaitości z pola sztuk pięknych. — Koncert Towarzystwa muzycznego. — „Pieśni wieczorne“ W. Halka. — „Schlosser.“ — W sprawie wystawy wiedeńskiej.)

Jak przy każdej nieledwie sposobności rozdajemy się i różnymi w opiniach co do rzeczy istoty naszej narodowej dotyczących, tak też stało się i z obchodem jubileuszu ustanowienia Komisji Edukacji Narodowej, święconym właśnie przez Towarzystwo pedagogiczne w murach naszego miasta. Krakowowi pierwotnie miał być przypaść w udziale zaszczyt podejmowania tegorocznego zjazdu członków pomienionego Towarzystwa, z którym połączono obchód czcigodnej pamiątki Komisji Edukacyjnej, uprzejmy jednak i dobrą wolę zrazu okazujący Kraków, na tydzień przed terminem zwinął chorągiewkę i odprosił zjazd nauczycieli, zasłaniając się epidemią, która pokazać się miała w mieście. Wprawdzie wdzięczni jesteśmy Krakowowi, że nam odstąpił bardzo miłych gości, ale usunięcie się jego od obchodu jubileuszu d. 17. lipca wprost przeciwnie wywołuje w nas uczucia. Więć i wspomnienie Instytucji, która spełniała dzieło odrodzenia narodu na drodze wiedzy i obyczajności wydało się stańczykowemu oczom marą, której się wywołać nie powinno? No, to już chyba własnego cienia bać się powinien staruszek podwawelski, zerwać powinien — z samym sobą!

Zjazd i obchód, pomimo nielicznego udziału prowincyi, powiódł się bardzo pięknie. Z zapowiedzianych gości Libelt i Kraszewski nieobecność swą wytłumaczyli względami zdrowia, zaś hr. Działyński Jan z Kórnika trudnościami nieprzepartemi. Zapowiedzianą rozprawę Kraszewskiego: „Komisya edukacyjna, jej prace i zasługi na polu wychowania publicznego“, nadesłaną przez Autora, odczytał dr. Benoni. Sprawiała wielkie wrażenie, równie jak odczyt następny dra Zygmunta Sawczyńskiego „O zadaniu wychowania publicznego w ogóle a w szczególności w zastosowaniu do potrzeb naszego narodu.“ Po odczytach i wspólnym obiedzie zakończyło obchód przedstawienie „Konfederatów barskich“ Mickiewicza. Nie można było skromniej a serdeczniej uczcić takiej wiekopomnej pamiątki, jak dnia ustanowienia Komisji edukacyjnej.

Dawno już nie mieliśmy tak ożywionego sezonu letniego jak bieżący, co głównie zawdzięczyć mamy teatrowi i operze, które wyrzekły się w tym roku feryi a natomiast otworzyły scenę gościom. Po występach pana Rychtera nastąpiły występy pana Bendy, obecnie zaś gości pierwsza artystka sceny krakowskiej, pani Antonina Hofman. Pan Benda w komedyi, zwłaszcza salonowej, w rolach charakterystycznych, jest wybornym aktorem, w „Przyjacielu kobiet“ zachwycił nas, ale też w dramatycznych rolach o wysokim nastroju jak n. p. „Cola Rienzi“ bardzo miernym; i nie dziwnego, nad warunki to bowiem duszy ludzkiej, chcieć objąć w sobie całą ową skalę jaka leży między wymienionymi rolami. I pani Hofman celuje

w komedyi współczesnej; sentymentalność mniej odpowiada istocie artystki, jakkolwiek pojęcie zawsze poprawne i wielkie doświadczenie sceniczne, w dramacie także stawia panią H. na niepospolitym stopniu sztuki.

W operze kilkakrotnie występowała panna Tellini, lwowianka, primadonna sztudgardzkiej opery. Głos i szkołę posiada panna Tellini w niepospolitej mierze, grą bardzo pięknie. Pan Olski, któremu po wyjeździe p. Kamińskiego przypadły wszystkie partye pierwszego tenora, wywiązuje się dotąd bardzo szczęśliwie z swego zadania, jakkolwiek nie posiada jeszcze dostatecznego obycia się ze sceną. Popisywały się także w tym czasie z powodzeniem mniejszem lub większem panie Bogusławska, Krasowska i Ostrowska. O pierwszych dwóch już dziś powiedzieć można, że mają w operze przyszłość przed sobą.

Dzięki gościom widzieliśmy na scenie kilka pięknych sztuk, po części nowych, przynajmniej dla Lwowa, jak n. p. „Pozytywnych“ Narzyskiego „Ostrożnie z ogniem“ Musseta, Rasynowską „Fedrę“ itp. „Pozytywni“, jak wszystkie utwory sceniczne nieodżałowanego Narzyskiego, robią silne wrażenie jako obrazy współczesnych stosunków i typów. Estetyczna ich strona mniej może rozwinięta niż w „Epidemii.“ — Do rzędu nowości przedstawionych ostatniemi czasy należą także wesole dwie sztuczki jednoaktowe: „Po kolacy“ fraszka sceniczna czy coś w tym guście przez hr. Jadwigę Żubińską napisana i „Nauka nie idzie w las“ przysłowie dramatyczne przez W. hr. Bobrowskiego. Pierwsza, utwor poczynającego dopiero pióra, dowiodła, że autorka przy studyach i doświadczeniu literackiem pisać mogłaby wcale udatne sytuacyjne obrazy sceniczne, do których wzorów nie brak w sferach salonu. Przysłowie pana Bobrowskiego odznacza się przedewszystkiem potoczystym, dystynkcyjnym i humorem dobrze zaprawnym dialogiem, nie mniej też szczerze pociesznymi sytuacjami. Tylko na charakterystykę nie zewszystkiem godzilibyśmy się z autorem, który przeciwstawił sobie dwie ostateczności tak skrajne w osobach wyniosłego dżentiloma i krzykacza „narodowego“ że doprawdy trudno byłoby nam w społeczeństwie współczesnym znaleźć bodaj po egzemplarzu takich figur. Za to pośrednią postać kobiecą w tej sztuczce, pośrednią i pośredniczącą zarazem między antypodycznemi żywiołami komedyi, nakreślił autor z całą prawdą i całym wdziękiem życia, kilku zaledwie rysami stworzył skończony obraz Polki. — W operze jako nowość odspiewano kilkakrotnie operę komiczną Offenbacha „Życie paryskie.“

Wystawa obrazów z dniem 1. bm. została zamknięta. Zostawiła po sobie miłe wspomnienie, gdyż pokazała nam nie jeden piękny obrazek i rzeźbę, a choć mniej obfita od poprzednich, dobrze świadczyła o pracy naszych artystów. Pierwszeństwo tym razem odniósł karton Wojciecha Gersona z Warszawy „Kopernik“, znakomity pod względem rysunku a zwłaszcza kompozycyi. — Z dzienników krakowskich dowiadujemy się z przyjemnością, że rozdwojenie, jakie od pewnego czasu pa-



nowało między artystami a tamtejszem Towarzystwem sztuk pięknych zostało już ku obopólnemu zadowoleniu zagodzone. Artysty, a na czele ich Matejko, urządzili byli sobie ostatnią wystawę niezależnie od Towarzystwa w pałacu Spiskim; od teraz utwory swe wystawiać znów będą w sali Towarzystwa. — Dzienniki Monachijskie znów oddają pochwałę artystom naszym za ostatnie ich prace wystawione w tamtejszej galerii. Między innymi „Der freie Landesbote“ pisze o nowym obrazku rodzajowym Zygmunta Sidorowicza ze Lwowa „Trudna odpowiedź“, że osnuty jest na motywie bardzo pociągającym a jasno i pięknie przedstawionym.

Przed zamknięciem kursów Towarzystwo muzyczne dało koncert, złożony z orkiestralnych utworów Beethowena, Bacha i Abert'a, kwartetu smyczkowego Schumana i części wokalne, w której oprócz pana Wysockiego slyszeliśmy z prawdziwą przyjemnością dawniejszą artystkę sceny tutejszej, pannę Wygrzywalską, władającą nader miłym głosem, znanym nam zresztą dobrze z występów panny W. w operetkach narodowych jeszcze za „starej“ (jak tu mawiamy) dyrekcyi. Za cudowne „Preludjum“ i „Fugę (g—moll)“ Bacha osobno dzięki składowy dyrekcyi; w czasach „Offenbachiad“, czarowne owe, spokojne jak błękit akordy i rytmy były wyjątkową rokoszą dla wszystkich miłośników szczerej muzyki.

Zapowiedziane od kilku miesięcy wydanie „Pieśni wieczornych“ Witosława Halka, najcelniejszego z współczesnych poetów czeskich, w tłumaczeniu pięknie dokonane przez Władysława Belzę stało się już — książką, wcale ozdobną a niedrogą. Oby nie same tylko polskie półki księgarskie użyły gościny pięknym zwrotkom lirnika pobratymczego narodu, jak się to zdarza pospolicie innym książkom w tych czasach! Wydawnictwa nasze peryodyczne spoczywają... z wyjątkiem jednej „Biblioteki historycznej“, która ciągnie jakoś ten żywot mozolny na padole galicyjskim, a wydanym właśnie zeszytem 18. zamknęła III. tom „Dziejów Schlossera.“ Dalszego tłumaczenia tychże „Dziejów“, od IV. tomu począwszy, dokonają pp. Józef Tretiak i Bronisław Komorowski.

Od zamiaru zwidzenia wystawy powszechnej powstrzymała wielu ostatnimi czasy obawa przed pokazującą się w Wiedniu epidemią azyatycką. Zapewniają jednak, że wieści o takowej jeżeli nie są zupełnie bez podstawy to bardzo przesadzone. — Czcigodnemu korespondentowi naszemu z Drezna odpowiadamy przy tej sposobności, iż zestawieniem w jeden obraz rozprószonego na wystawie powszechnej udziału polskiego zajął się o ile wiemy z całą patryotyczną gorliwością i sumiennością pan Agaton Giller, redaktor feletonu „Gazety Narodowej“, który też od miesiąca już wyniki swego mozolnego zaprawdę zadania ogłasza w sprawozdaniach peryodycznych w pomienionej gazecie. Spodziewać się należy, że wydawnictwo „Gazety Narodowej“ w interesie ogółu nie zaniedba w osobnej odblacie wydać listów wiedeńskich p. Gillera, tem bardziej że mało jest nadziei, aby ktoś inny miał chęć i zdolności do napisania lepszego, więcej wyczerpującego pamiętnika o pracy i myśli polskiej na wystawie.

B. K.

Drezno, w lipcu 1873.

(Przegląd Polski. — Nieszczęsna Galicya! — Dowody jej ruchu umysłowego. — Wydawnictwo Estetyki popularnej Lemcke'go. — Platera z Dąbrowicy sposób robienia majątku. — Kulturunfähig. — Nowe książki: „Przyszłość“ poemat dram. przez Ch...; „Teki narodowej“ Forstera tom IV.; „Tadeusz Rejtan na Sejmie warszawskim z r. 1773, przez Leona Wegnera. — Medal na cześć pamięci Seweryna hr. Mielżyńskiego. — Udział polski w wystawie wiedeńskiej.)

Słyszę, głucha wieść chodzi (bom dotąd sam sprawdzić jej nie mógł), iż Przegląd Polski okrutne jakieś ciągi miał dać niewinnej Galilei! Oburzają się na to ludzie. Czyż nie dość, powiadają, tego co Diabeł, co Szczutek, co Kronika krakowska w Gazecie Narodowej i lwowska w Dzienniku Polskim, co kilka dni przeciw nieszczęśliwej Galicyi, peryodycznie nahałasują i nadowcipują, trzebaż, by organ konserwatystów per excellentium, wystąpił z tak bolesną ironią i wyrzutami nielitościwemi?

Co się tam stało, nie wiem, bo Przegląd Polski w jednym tylko egzemplarzu do Drezna dochodzi i spotkać się z nim nie łatwo. Oburzenie wielkie. Jestże w istocie tak źle?

Something is rotten in the state of Denmark (Hamlet s. IV.) Ten biedny wasz kraik, w istocie wystawiony jest na bezprzykładne prześladowanie. Dawniej znęcał się nad nim ten niegodziwy Bolesławita w obrzydliwych swych rachunkach, które nareszcie oburzenie powszechne przeciwko nim do milczenia przywiodło; trzebaż było, żeby i Przegląd Polski, organ pełnego wyszukanej delikatności i przyzwoitości hr. Stan. Tarnowskiego, wystąpił na pośmiewisko podając biedną tę Galileę? I w jakiejże chwili? w godzinie żaloby, gdy jej dzieci popiołem posypawszy głowy, krachu wiedeńskiego jeszcze oplakać nie miały czasu? Jestże na świecie kraj niesprawiedliwiej prześladowany od losu i własnych dzieci? I pytam, za co? Gdzie więcej czytają? gdzie wyborniejsze pisma peryodyczne? gdzie skromniejsza, poważniejsza i sumienniejsza prasa? gdzie większe płyną składki i ofiary na rzecz publiczną? gdzie ludzie cichej a wytrwałej pracy są w większej liczbie? gdzie zgoda, miłość i przykładowa jedność bujniej się krzewią? Gdzie zdrowsza polityka i pilniejsze około sprawy narodowej zajęcie? Gdzie przykładowiejsze społeczeństwo? zgodniejsze wszystkie jego stany? gdzie... ale dosyć! dosyć! męczennicą jesteś, ty nieszczęśliwa Galileo!! Żal mi cię!! Nie ma nawet komu stanąć w twej obronie, ja się bowiem ani czuję na siłach, ani bym śmiał nieproszony być twym rzecznikiem... Ubolewam tylko w cichości nad niesprawiedliwością losu, jaki cię dotyka... Odwołajmy się do przyszłości, ona wyda słuszniejszy wyrok o Tobie!!

Żart na stronę, przyznać potrzeba, iż wreszcie tyle nawoływań i sarkazmów poskutkować muszą. Mówią, że liczba abonentów na pisma peryodyczne wzrosnąć ma w przyszłym kwartale o — pięciu. Są to zapewne ci sami, którzy się niegdyś podpisali na dzieła pośmiertne Mickiewicza. Wydawcy też galicyjscy, krakowscy i lwowscy pospieszą zapewne, korzystając z tak dzielnie obudzającego się zamilowania literatury. Kto wie, czy nie to natchnęło szczęśliwą myślą pp. Gubrynowicza i Szmidta do przedsięwzięcia wydania w przekładzie polskim popularnej Estetyki prof. Lemcke'go... Zajęcie sztuką jest tak



żywe, iż na ostatnim posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Sztuk pięknych, jak donoszą dzienniki, znajdował się członek jeden. Zawsze to coś znaczy, bo mogło nie być żadnego. Sądzę, iż dla królestwa, które także zechce pewnie korzystać z Estetyki, w Niemczech już cztery wydania mającej, pp. Gubrynowicz i Szmidt będą musieli nową zrobić odbitkę, edycja bowiem dla Galicyi w liczbie pięciu egzemplarzy wkrótce będzie wyczerpaną.

Jeszcze raz — żart na stronę. W istocie podziwiamy odwagę tych, co się zajmują wydawnictwem i handlem księgarskim w Galicyi, heroizm prawdziwy, patryotyzm bezprzykładny, Księstwo Poznańskie powoli idzie śladem i za przykładem bratniej prowincyi. I tam już dziś odbył nowych książek zaczyna się liczyć na dziesiątki egzemplarzy, a nie tracimy nadziei, że wkrótce dorówna galicyjskiemu. Naówczas miła cisza i spokój zapanują w obu prowincjach, a jeżeli się uda jeszcze przywieść do milczenia dziennikarstwo, jeżeli książki pobożne francuzkie zaprowadzone zostaną gorliwym staraniem ks. K... w miejscu polskich, naówczas — język i literatura wypoczną sobie dla nabrania sił nowych, i polskim tym manifestacyom narodowym, nieznośnym, raz się koniec położy. Oddawna prasa niemiecka i rosyjska dowodzą, że język polski nie ma racyi bytu, że jest nicht culturfähig, że używanie jego to prosta tylko manifestacja i agitatorstwo sztuczne; przyjdźmy im w pomoc sami, aby dowieść lojalności naszej i usatkwania. Dostyć już tych rewolucyj było, które się zawsze niezdrowym rozrostem piśmiennictwa poczynają, prawdziwi konserwatyści dobrze to rozumieją, że zabijając język, literaturę, najpewniej szkodliwemu ruchowi raz na zawsze koniec położą. Wiedzą także i piszą, że będziemy mogli zostać doskonałymi Polakami, choćbyśmy zapomnieli po polsku (Kurjer Poznański). Do tego idealnego stanu, tej narodowości latente, skrytej, cichej, zduszonej i nie odzywającej się, aby jej nie dobito, dążyć powinniśmy. Najzdrowsza w świecie polityka.

Nieboszczyka Platera z Dąbrowicy pytał ktoś o najlepszy sposób robienia majątku. A cóż! — odparł on — na pięć lat trzeba.. głupcem zostać. — A potem? — dodał ciekawy. — A potem się przywyknie i będzie nim na zawsze.

Tak może być i z nami, gdy prowizorycznie przestaniemy dla miłego spokoju być Polakami. I Europa odetchnie nareszcie, gdy tego podżegacza a rewolucjonisty, jakim była Polska, upominająca się o przedawnione należności swe — nie stanie.

Zagalopowaliśmy się z przyczyny Przeglądu (on winien) za daleko. Nie stanie nam miejsca na kroniczkę... Szczęściem wspomnieliśmy pobieżnie o Estetyce Lemckego. Nowości galicyjskich mało co więcej podobnobyśmy znaleźli. Oto jest jeszcze młodociany dramat czyli poemat dramatyczny przez p. Leona Ch... Przyszłość. Chcielibyśmy coś powiedzieć o nim, bo go myśl i uczucie najgodniejsze poszanowania natchnęły; a w obecnej chwili, przyznać się przed drukarnią Czasu do tak gorącego patryotyzmu, jaki wieje z Przyszłości w niedalekiem sąsiedztwie od Przeglądów, aż dwóch — w grodzie tak austriacko-lojalnym, i tak religijno-konserwatywnym jak Kraków, trzeba niepospolitej cywilnej odwagi. Dał jej ze wszech względów dowód autor poematu, żalujemy tylko, iż artystycznej szaty swojego utworu, szanując młodości pamiętkę,

nie chciał kunsztowniejszy wykończyć. Myśl poematu w istocie jest polską, a co więcej, zdaje się być, po przeżyciu chwili obecnej, ideą rzeczywistą przyszłości, która na miłości i braterstwie musi być opartą. Utwor ten, dni młodości, ma wszystkie cechy młodych poematów, w których więcej jest czucia, fantazyi, polotu niż obrachowania i skupienia. Czytając go przenosimy się o jakie lat dwadzieścia w przeszłość!! Jakże dziś innemi uczuciami i myślami wieje Darwinowsko-Bismarkowska epoka! Eheu! — Teki narodowej Karola Forstera wyszedł tom czwarty, zawierający Polskę (przeszłość, obecność, przyszłość), studjum bezimiennego autora z niemieckiego przełożone. Mówiliśmy o niem w Tygodniu, w chwili jego ukazania się obszernie, i powtarzać się nie będziemy. Jestto jeden z najciekawszych tomów tego zbioru, i jako przez cudzoziemca napisana rzecz, niezmiernie zajmująca, charakterystyczna, budząca mnóstwo myśli. Daj Boże tylko, by potrafiła ogólne u nas zubożenie przełamać i więcej znaleźć czytelników, niż tom trzeci (powstanie narodu Polskiego 1830—1831 obrona Krukowieckiego), niż poprzedzające nawet dwa tomy, w stosunku do ich wartości za mało rozpowszechnione.

Księgarnia Żupańskiego, o której musimy wspominać ciągle, bo ona jedynie jest czynną w Poznaniu, wydrukowała piękny a z sumienną troskliwością, autorowi właściwą, skreślony obrazek: Tadeusz Rejtan na Sejmie warszawskim z r. 1773. (W Stoletnią rocznicę Sejmu rozbiorowego opowiedział Leon Wegner. Poznań 1873 r. str. 108.) Niezapomniane to i drogie imię bohatera, któremu nic nie braknie, tylko by ktoś dziś dowiódł, iż był zdrajcą, a Poniński odsądzając go od czci i wiary, miał najzupełniejszą słusność. W tym kierunku, jak dziś idą studia historyczne, rehabilitujące wszystko, co naród uczył i ukochał — możemy się niedługo czegoś podobnego spodziewać. Zaczny pan Leon Wegner, którego piękne studia historyczne jednoznacznie znalazły uznanie i sympatyę, należy szczęściem do tych dziejopisów starej szkoły, co poczucie całego narodu szanują i w paradoksach nie szukają chwilowego oklasku obalamuconych głów i skaleczonych serc. Studium to autor poświęcił pamięci człowieka, którego stratę oplakuje Poznańskie, Seweryna hr. Mielżyńskiego. Wybitny ku czci jego skromny medal, który w bardzo znacznej ilości odbić już się rozszedł pomiędzy ludźmi, co umieli ocenić zmarłego, wielu podobno wydał się za skromnym, i p. Wolniewicz w Dzienniku Poznańskim zarzucił mu, że nie przekazał przyszłości rysów zmarłego. Nic łatwiejszego, jak to jeszcze wykonać nanowo i lepiej, niż myśmy potrafili. Zachęcamy do tego z całego serca p. Wolniewicza, aby się podjął błąd nasz naprawić, bardzo byśmy mu za to byli wdzięczni.

Wszyscy powracający z Wiednia mówią nam o wrażeniu, jakie na nich uczyniły obrazy Matejki, wróżąc, że to uznanie, jakie głos powszechny już im oddaje, sankcyonować będzie komitet do nagród wyznaczony. Oprócz nich nie mało prac ziomków naszych, rozpierzchłych w oddziałach różnych, pod różnemi krajami, czeka na ten sąd międzynarodowy, który z pewnością zbyt dla nas pobłażającym nie będzie. Wszyscy więc ci, co się tu potrafią odznaczyć i wypłynąć, winni będą zasłudze własnej to, co tu uzyskają. Wystawa wiedeńska, za ledwie pono teraz urządzająca się ostatecznie, w najniżej-



śliwszych warunkach stawi się na sąd narodów. Nie ściąga ona dotąd nawet tych tłumów, jakich się spodziewać miano prawo... Ciekawość ostygła, Wiedeń odstraszył cenami, a dzienniki w ogóle tyle miały do zarzucenia jej, że dziś ta zła forma z trudnością się da zmienić i naprawić. Warto, by kto ze sprawozdawców wziął na siebie troskliwe zbadanie udziału

polskiej pracy w tym popisie powszechnym. Lecz cóż to za olbrzymie zadanie, stuartuszkowy katalog niedokładny, i ten ogromny gmach do przetrząśnienia ze wszystkimi zakątkami jego!!

J. I. KRASZEWSKI.

### ZE ŚWIATA.

(Kobiety walczące w sądach bożych.) U Franków była w jedynastym wieku środkiem do uzyskania sprawiedliwości walka oskarżyciela z oskarżonym. Gdy ktokolwiek oskarżony został o jakie przestępstwo, pozwalano mu składać przed trybunałem sądowym przysięgę na swoją niewinność i uniknąć tym sposobem tego, co nazywano wówczas „zemstą prywatną.“ Jeżeli jednak można było przypuszczać, że tym sposobem nie będzie dostatecznie udowodnioną niewinność obżałowanego, miał oskarżyciel prawo unieważnić przysięgę w ten sposób, że odtrącał rękę obżałowanego od ołtarza lub relikwii, na którą składał przysięgę, i wyzywał potem obżałowanego do walki na śmierć lub życie.

Jeżeli oskarżycielem była kobieta, a oskarżonym mężczyzna, były przepisy tej walki następujące:

Mężczyzna musiał wlażyć w dół, który zwykle był po bokach obmurowany kamieniami i tak głęboki, że krawędź jego sięgała mu do pasa. Uzbrajano go zahartowaną w ogniu pałką, kobieta zaś, która stała nad dołem na równej ziemi, i której poruszenia nie były przeto niczem ograniczone, otrzymywała do rąk chustkę, w której zawiązany był kamień ważący 4 do 5 funtów.

Podług ustaw miasta Augsburga z r. 1276 i podług kodexu walki, wydanego w Würzburgu w r. 1447, gdzie istniały takie sądy boże dla kobiet, mogła pałka, którą uzbrojony był mężczyzna, mieć 12 cali długości, a grubość jej z jednego końca mogła się równać dwom dużym palcom. Broń zaś kobiety była o dwie pięści dłuższa, a kamień zawiązany w chustkę mógł tylko funt ważyć.

Gdy jednak kobieta wyzywała kogo do takiej walki, czyniła to z niebezpieczeństwem własnego życia. Jeżeli bowiem nie wyszła zwycięsko z tej walki, miał obżałowany prawo, żądać od trybunału sądowego wydania na nią wyroku śmierci za to, że fałszywie go obwiniała. Wtedy palono ją żywcem, i to w tym samym dole, w którym stał mężczyzna w ciągu pojedynku.

Taki wypadek uważano dopiero za prawdziwy „sąd boży“, bo stanowisko i broń kobiety nadawały jej taką przewagę nad mężczyzną, że zwyczajnie wychodziła ona zwycięsko z tej walki.

Chociaż sądy boże, czyli tak zwane ordalie, zostały wogóle zniesione około roku 1250, utrzymywały się przecież długo jeszcze takie walki między mężczyzną i kobietą. Szczególnie zdarzało się to po małych trybunałach prowincjonalnych, gdy oskarżała się szlachta. Jeżeli jednak obżałowany wyznał swoją winę, natenczas nie był obowiązany narażać życia swego

w walce; puszczano go z utratą jednej ręki na wolność, albo musiał zapłacić odpowiednią grzywnę.

Walka odbywała się w obecności sędziów, a często i innych także widzów. Wszyscy musieli zachowywać jak najściślejsze milczenie, tylko sekundantom wolno było mówić.

Walka zaczynała się za danym znakiem, i również kończył ją znak inny. Każdy z zapaśników mógł dwa razy żądać wypoczynku; jeżeli zaś uczynił to po raz trzeci, lub jeżeli broń wypadła mu z ręki, natenczas przegrywał sprawę.

Ubranie kobiet do walki składało się ze spodni, kurtki, pasa skórzanego i kapuzy z szarej materii wełnianej. Ubranie mężczyzn było prawie takie same. Przed walką pili obaj zapaśnicy tak zwane wino Śgo Jana, aby się zabezpieczyć od wszelkich czarów.

W archiwach starych ratuszów niemieckich znajdują się jeszcze dokumenta takich walk, a tu i ówdzie spotkać można jeszcze stare ryciny, które je przedstawiają.

(Skuteczne napomnienie.) Jakub Thompson w Eaton było najlepszy człowiek w świecie, ale niestety tak słabą miał pamięć, że najlepsze zamiary jego pelzły na niczem, i chociaż posiadał znaczny majątek, trudno było wykołatać od niego to, co się komu należało. W tym przypadku znajdował się doktor Gorman, który leczył Thompsona przez dłuższy czas, a w końcu przedłożył mu skromny rachunek na 20 dolarów i prosił o rychłe wypłacenie. Ale poczciwy Thompson ani myślał o tem. Doktor przypominał się kilka razy, a nawet sam dłużnik przypominał sobie, ile razy spotkał doktora, i przyrzekał natychmiast odesłać pieniądze, ale zawsze kończyło się na obietnicy.

Pewnego dnia spotkali się znowu obadwaj na poczie, i doktor, który zaczynał już tracić cierpliwość, rzekł:

— „Mnie się zdaje, panie Thompson, że pan nie myślisz wcale zapłacić mego rachunku! Syn mój odjeżdża za kilka dni do Bostonu, i pieniądze te są mi przeto koniecznie potrzebne.“

— „Przebacz, kochany doktorze“ — prosił zmieszany Thompson. — „Chciej mi pan wierzyć, że nie czynię tego ze złej woli, lecz że przyczyną tego jest tylko nieszczęśliwa pamięć moja. Ale upewniam pana, że w najbliższą sobotę otrzymasz pan swoje pieniądze, chyba umarłbym wprzód.“

— „Mogę więc spuścić się na to?“

— „Jeżeli mi Bóg dozwoli życia, z całą pewnością.“

Doktor poprzestał na tem i był ciekawy, czy dłużnik jego tą razą dotrzyma słowa; ale gdzie tam! Sobota nadeszła i minęła, a przyrzeczone pieniądze nie nadeszły. Wtedy postanowił doktor użyć oryginalnego, ale jak się spodziewał skutecznego środka. W Eaton, jak w wielu innych mniejszych



miasteczkach amerykańskich, istniał i istnieje dotąd zwyczaj, że zgon każdego mieszkańca oznajmiany bywa spółobywatelom biciem we dzwon, a mianowicie tyłu razami, ile lat zmarły liczył. Otóż w niedzielę zrana udał się doktor do kościelnego i zamówił podzwonne dla zmarłego Jakuba Thompsona, i gdy zabłysło słońce na pogodnym, wiosennym niebie, odezwał się dzwon na wieży i oznajmił przerażonym mieszkańcom Eatonu sześćdziesięciu jeden razami, że jeden z ich grona przeniósł się w tym niezbyt sędziwym jeszcze wieku do wieczności.

— „Kto umarł?“ — pytali się wszyscy, gdyż nie słyszeli wcale, by kto ze starszych osób w mieście chorował. Zasięgano wiadomości u kościelnego i dowiedziano się, że dzwonił Jakubowi Thompson.

— „Jakub Thompson nie żyje“ — obiegało przez cały ronek z ust do ust. Ale jakżeż się zdziwiono, gdy po południu ukazał się na rynku mniemany nieboszczyk żyw i w najlepszym zdrowiu! Najbardziej jednak przerażonym był sam p. Thompson, gdyż za każdym niemal krokiem zaczepiali go znajomi a nawet obcy zapytaniem: „Ale skądże pan przybywasz? Ja myślałem, że pan już nie żyjesz!“

Oburzony do najwyższego stopnia Thompson popędził do kościelnego i pytał go, kto mógł rozszerzyć tak niedorzeczną pogłoskę?

— „Czyż nie muszę dzwonić, jeżeli doktor Gormann mi każe?“ — odparł kościelny zgryźliwym tonem. — „On mówił, że pan umarłeś, a ja sądziłem, że lekarz pański musi przecież wiedzieć o tem. Jakżeż to się stało, że pan znów odżyłeś?“

Teraz przypomniał sobie Thompson, co przyrzekł doktorowi i jak się przytem wyraził. Czempredzej więc pospieszył do domu, zapakował 20 dolarów i odesłał doktorowi Z początku chciał się gniewać za ten niemily figel, ale przeważyła komiczna strona żartu, i w końcu śmiał się z niego serdecznie. I zapewniają też, że środek ten wywarł bardzo zbawienny wpływ na jego pamięć.

(Pogrzeb księcia indyjskiego). Z początkiem tegorocznej wiosny umarł panujący książę w Joudhpore, maharadża Takht Singh, w 52 roku życia a 29 świetnego panowania swego. Zaraz po jego zgonie zaczęto czynić przygotowania do spalenia zwłok. Z brzaskiem dnia ubrano ciało w suknie tkane złotem i ozdobiono klejnotami w wartości 100,000 talarów. Potem zaniesiono je w lektyce, w postawie siedzącej, do przeznaczonego miejsca, dokąd towarzyszyła nieboszczykowi zwyczajna jego świta i banda muzyczna. Przed konduktem szły dwa słonie objuczone monetami złotymi i srebrnymi w wartości do 85,000 talarów. Co sto kroków rzucano te pieniądze pomiędzy tłumy, a walka, jaką staczano każdego razu o zdobycie kilku takich monet, przedstawiała zaprawdę okropny widok. W odległości prawie sześciu mil angielskich od stolicy znajdowało się familijne spalenisko książąt; i tam poczynione były wszelkie przygotowania na przyjęcie zmarłego. Na wielkim stosie, urządzonym z drzewa i materiałów palnych, złożono z uszanowaniem zwłoki księcia z klejnotami i szalami kaszmirowemi, i z uderzeniem godziny 10. zrana podpalili Bramini stos wśród modłów, poczem tłumy, zebrane dokoła,

ozwały się okropnym, prawdziwie ogłuszającym wrzaskiem. Gorąco było tak wielkie, że w odległości 3000 stóp od stosu zaledwie można było wytrzymać. Po kilku godzinach było ciało spalone i ani szczątek z niego nie pozostał. Popioły zostawiono przez dwa dni na miejscu dla ostygnięcia, a potem sprowadzono je z wielką pompą napowrót do pałacu. Ztamtąd wysyłane będą w swoim czasie do rozmaitych miejsc świętych, jak Hurdwar, Benares i inne, a zawsze naturalnie ze znacznymi sumami pieniędzy dla rozdawania Braminom i innym religijnym żebrakom. Od dnia, w którym umarł książę, dostawało codziennie regularnie 5000 kapłanów u bram pałacu pożywienie i rupie. Dla okazania swego smutku i żałoby pogolili wszyscy mieszkańcy bez różnicy kasty głowy i brody. — Zmarły książę miał znaczną liczbę żon i niewolnic, z których wiele pragnęło podług dawnego zwyczaju poświęcić się na stosie swego małżonka i pana, jedne z prawdziwego żalu po stracie, inne tylko z uszanowania. Ale dzięki wpływowi rządu angielskiego nie przyszło tą razą do takich haniebnych ofiar. Zwykle ginęło przy takiej sposobności kilkanaście kobiet; ale następcą tronu, książę Saswant Singh Bohadur, zabronił stanowczo takiego barbarzyństwa, i przysiągł, że ukarze surowo każdego, ktoby do czynów takich zachęcał. Teraźniejszy władca zdaje się być bardzo szlachetnym i światłym księciem, i można przeto spodziewać się, że rządy jego będą dobre i szczęśliwe.

(Sławni miłośnicy kotów.) Wielu ludzi pogardza kotami, ale mają one także swoich wielbicieli. Pierwszym z nich był prorok Mohamet. Posiadał on, jak wiadomo: dziewięć mieczów, trzy lance, trzy łuki, siedm pancerzy, trzy tarcze, dwanaście żon, białego koguta, siedm koni, dwa muły, cztery wielbłądy; ale przedewszystkiem zasługuje na wzmiankę kotka Muezza, do której był nadzwyczajnie przywiązany.

Pewnego dnia marzył Mohamet o swojej polityce; na jego rękawie siedziała Muezza. Prorok zamyślony patrzył długo przed siebie, a kotka jego zasnęła. Mohamet, zmuszony powrócić do swego zatrudnienia, wziął nożyce i odciął rękaw od swojej sukni, by nie przerywać snu ulubionemu zwierzęciu. Tak utrzymuje orientalna legenda.

Inny polityk, kardynał Richelieu, nie byłby wprawdzie rozciął swojej sutany, by nie budzić kota, ale był on także miłośnikiem kotów, i jak mówi podanie, lubił się z nimi bawić. Był on w swoim gabinecie ciągle otoczony małymi kotami i patrzył z upodobaniem na ich skoki i figle; ale nie był wiernym ich przyjacielem, bo gdy podrosły, oddalał je, a kazał przynosić sobie znowu młode. Portret kardynała, którego malarze przedstawiali zawsze z lwami i orłami, byłby wierniejszy, gdyby go otaczały koty.

Także Colbert miał być wielkim miłośnikiem kotów. Pewien autor ówczesny powiada w swoich pamiętnikach: Wiadomo powszechnie, że jeden z największych ministrów Francji, p. Colbert, miał zawsze kilka młodych kotów w tym pokoju, z którego wyszło tyle pożytecznych i przynoszących sławę narodowi urzędzeń.

Równie wielkim przyjacielem kotów był Chateaubriand. Wszędzie zajmowały go te zwierzęta, w szczęściu i w niedoli,



na wygnaniu, w poselstwie i przy końcu życia. „Lubię u kota — mawiał on — jego niezawisły i prawie niewdzięczny charakter, jego obojętność, która nie pozwala mu do nikogo się przywiązać; gdy się go głaszcze i pieści, naszczurza on swój grzbiet, nie kocha jak pies swego pana, który go kopie, i jest mu wiernym. Żyje on samotnie i słucha tego tylko, kogo chce. Buffon wyrządził krzywdę kotom, ja staram się naprawić ich reputacją.“ To, co Chateaubriand mówi o kotach, znajduje się w kilku miejscach w jego pamiętnikach, pomieszczone z polityką, i o wiele jest ciekawsze, niż sama polityka.

Chateaubriand, żyjąc jako ubogi emigrant w Londynie, mieszkał w r. 1797 u pewnej wdowy irlandzkiej, która lubiła koty. „Połączeni tą zgodnością uczucia — powiada on w swoich pamiętnikach — mieliśmy nieszczęście, utracić dwoje uroczych kociąt, i wspólna ta boleść zamieniła dwoje obcych ludzi w przyjaciół.“

Będąc posłem w Rzymie otrzymał on od papieża kota, którego zwano Micetto, jak opowiada sekretarz poselstwa. Kot papieża Leona XII., którego odziedziczył Chateaubriand, stanowił część opisu jego domu. Chateaubriand uczcił go temi słowy: „Mam do towarzystwa wielkiego, burego kota. Chciałbym się stać rzecznikiem pewnych dzieł Boga, które u ludzi popadły w niełaskę, a w pierwszym rządzie figurują osiel i kot.“

Znany literat Moncrif, lektor królowy, posunął współczucie swoje dla kota tak dalece, że napisał osobną książkę o kotach, w której mówi nawet o ich wychowaniu i t. d. Wprawdzie Wolter i Grimm powstawali gwałtownie na tego historyka kotów, ale d' Alembert bronił go i nie przeszkadzał jego przyjęciu do akademii.

Poeta Baudelaire był tak wielkim miłośnikiem kotów, że zobaczywszy kota na ulicy, biegł za nim, brał go na ręce i pieścił. Poświęcił on nawet kotom kilka poezyj. U Wiktora Hugo ma kot swoje osobne miejsce, gdzie rokoszuje na czerwonej poduszce.

La Bruyere twierdzi, że miłośnicy kotów są nieprzyjaciółmi psów, i że to uczucie jest głęboko ugruntowane w charakterze. Istoty myślące lubią koty, a żywe natury psy, dlatego też przenoszą przemysłowcy, żołnierze, myśliwi i wogóle wszyscy, którzy prowadzą ruchliwe życie, psy nad koty. Ażeby rozumieć kota — dodaje w końcu La Bruyere — potrzeba mieć uczucie kobiece i poetyczne.

(Nie miłe objawienia). Mieszkająca w Paryżu Angielka, Miś Anna Blackwell, wydała dla swych przyjaciół książkę pod tytułem: „Spirytualizm i spirytyzm“, która zawiera szczególniejsze objawienia o stosunku owych błogosławionych istot, zwanych „medyum“, ze światem duchów bezcielesnych. Miss Blackwell przywłaszcza sobie ten zaszczyt, że ona pierwsza zaprowadziła we Francji przed 20 laty naukę o spirytualizmie, a teraz znów pierwsza odkrywa światu niezmiernie uduchowioną naukę o spirytyzmie. Nauka ta zawiera wiarę w przechodzenie dusz ludzkich po śmierci w inne ciała. Według tajemnic, objawionych „medyom“, ucieleśniają się niektóre dusze prędzej niż inne. Są dusze, które dla odpokutowania za grzechy muszą po kilkaset lat wałęsać się bez ciała.

„Medyum“ zaś wyższego wykształcenia posiada — podług Miss Blackwell — władzę dowiedzenia się, czem było dawniej na ziemi i co robiło. Do rzędu takich wybranych duchów należy także Allan Kordec, arcykapłan spirytystów, który utrzymuje, że w dawnym stanie swego żywota ziemskiego był ni mniej ni więcej, tylko Janem Hussem, sławnym refermatorem. Czas to zapewne nie mały, ale przecież niczem on jest w porównaniu ze starożytnością egzystencyi samejże Miss, Blackwell. Oto donosi ona, że podług autentycznego dowodu, złożonego przez dwóch duchów, zajmowała ona w r. 3543 przed Chrystusem wysokie stanowisko księżniczki Abyssynii. Najdrzód oznajmił jej to ówczesny jej ojciec, a później potwierdził inny duch, z którym następującą prowadziła rozmowę: — „Czy jesteś moim przyjacielem?“ — „Nieprzyjacielem.“ — „Czy z tego życia?“ — „Nie, od wieków.“ — „W której części świata?“ — „W Afryce.“ — „W którym kraju?“ — „W Abyssynii.“ — „Przed Chrystusem czy po nim?“ — „Przed.“ — „W którym roku?“ — 3543.“ — „Czem byłam wtedy?“ — „Córka króla.“ — „Czy byłam dobrą?“ — „Niegrzeczną i szkaradną.“ — „A ty czem byłeś?“ — „Twoim sługą.“ — Nie wątpimy, że Miss Blackwell nie jest teraz w niczem podobną do owej księżniczki afrykańskiej z czasów przedchrystusowych; ale na wszelki sposób jestto rzecz okropna, że nawet po tylu tysiącach lat może jeszcze świat dowiedzieć się o czyjejś brzydocie i grzechach! Radzimy więc pięknym czytelniczkom naszym unikać wszelkiej styczności ze spirytystami.

(Papiery księcia Tallèyranda). Książę Talleyrand, czując się już bliskim zgonu, wręczył przyjacielowi swemu Montraud torbę z papierami i dokumentami wielkiej wartości, które odnosiły się do familii orleańskiej i jej historii od r. 1789. Znajdowały się między nimi nieocenione szczegóły o intrydze Ludwika Filipa i pani Adelaidy podczas kongresu wiedeńskiego, jako też o księciu Kondenszu, którego sprawa pozostanie nazawsze niewyjaśnioną. — „Ofiaruję Ci w tych papierach milion“ — mówił książą do Montrauda — „gdyż taką wartość przywiązuje do nich król“. O tej wartości przekonał się potem Montraud z ust samego Ludwika Filipa. Uważał on tę spuściznę za ostatni swój ratunek, i w ostatnich latach życia mawiał często o tem, gdy pani Thiers, baronowa Vabri, pani Delessert i inne bywały u niego z wizytą. Gdy już kończył życie, przyszła do niego pewnego dnia jakaś dama w czarnym ubraniu. Jego pokojowiec Boulanger otworzył drzwi. Za wejściem jej skłonił się do samej ziemi i rzekł: — „Pan hrabia spi jeszcze, ale dla Waszej królewskiej Mości...“ — „Nie, nie, nie budź go; ja mam z tobą do pomówienia.“ — W kilka minut potem, gdy sługa schował do kieszeni 15.000 franków, odjechała owa dama z dokumentami dorożką; była to pani Adelaida, siostra Ludwika Filipa. Przy śmiertelnym łożu Montrauda wyznał to Boulanger wobec świadków, i opowiadał to często, żyjąc potem wygodnie w jakimś małym mieście.

(Fabryki bożków). Francuzki dziennik religijny, „Archiv du Christianizm“, podaje z wielkim oburzeniem wiadomość, że w Liwerpolu znajduje się fabryka bożków indyjskich, i że często na pokładzie jednego i tego samego okrętu



znajduje się tyleż pak bożków, co siamskich i birmańskich Nowych zakonów. Na cóż więc przyda się to, że angielscy misjonarze udają się do Indyi, ażeby tępić bałwochwalstwo, jeżeli chrześcijańskie domy handlowe wspierają to bałwochwalstwo, i jeśli, jak to się pokazało, szef liwepolskiego domu, który fabrykuje posągi bożków, jest właśnie wiceprezydentem towarzystwa biblijnego. Dla ciekawości podajemy tu próbkę cen fabryki bożków w Birminghamie: Jamen (bóg śmierci) z czystej miedzi, gustownie zrobiony, 1 funt szterl. 10 szylingów; ten sam z rubinami w uszach 4 f. szt. Mirandi (król demonów) w rozmaitych modelach: pospolity z miedzi 5 szyl.; z olbrzymem i wężem 15 szyl.; olbrzym złożony a wąż wysadzany zielonemi kamykami 2 f. szt. 5 szyl. Pasonne (bóg słońca) pospolity 15 szyl.; z krokodylem i srebrnym biczem 1 f. szt. 10 szyl. i t. d. Na kredyt nie daje się, natomiast opuszcza się rabat przy wypłacie gotówką. I nie jest że to dowód cywilizacji europejskiej!!!

(Powiastka ekonomiczno-społeczna).

Wydany nie dawno przez Adolfa Bastiana zbiór powieści i bajek wschodnio-indyjskich zawiera pomiędzy innymi bardzo ciekawą powiastką o której, „Revue moderne“ słusznie powiada, że ma taką wartość naukową, jak najściślejszy wykład ekonomii społecznej. Oto jej treści dosłowna:

„Dawnemi czasy żył wielki król, zwany Humayum, który z nadzwyczajną potęgą i okazałością panował w krainie Batharat. Król ten, maszerując pewnego dnia z swoją armią, uczuł pragnienie i zażądał wody, ale w całej okolicy nie można było jej znaleźć. Jeżdżąc tak dokoła za wodą, przybył do jakiegoś sadu, pełnego drzew granatowych, i zapytał starego dozorcę ogrodu, czy nie mógłby mu przynieść wody, ażeby ugasił swoje pragnienie. Ogrodnik odpowiedział: „Wody nie ma tu, ale granatów jest podostatkiem; jeżeli chcecie zjeść kilka, proszę wejść i wypocząć chwilę w tej altanie, a ja sporządzę tymczasem orzeźwiający napój z świeżych owoców.“

„Gdy król Hamayum wszedł do altany i usiadł, zerwał ogrodnik jeden owoc i położył go na czystej, białej chustce. Pocisnąwszy go potem, napełnił jego czystym sokiem cały kubek aż po brzegi, i podał go swemu gościowi; a gdy król tym napojem się pokrzepił, zapytał ogrodnika, czy drzewa te opłacają jaki podatek, czy nie? Ogrodnik odpowiedział: — „Drzewa te nie opłacały nigdy podatku, i są dotąd wolne od opłaty; ale są tu w pobliżu plantacje innych właścicieli, które podlegają opłacie podatku.“ — Król spytał się dalej, po jakiej cenie sprzedaje on zwykle owoce tego ogrodu? Ogrodnik odpowiedział, że ostatniego roku przyniosły one 300 złotych szylingów dochodu, a mimo to pozostaje ich jeszcze tyle, że można jeść podług upodobania.

„Król zastanowił się nadtem i pomyślał w duchu: Plantacje tego ogrodu są bardzo rozległe; gdybym upodatkował te drzewa, miałbym piękny dochód. — Tą myślą zajęty prosił ogrodnika, ażeby wycisnął dla niego świeży owoc i napełnił jeszcze raz czarę. Ogrodnik przyniósł owoc świeżo zerwany i wycisnął go w oczach króla, ale sok jego zaledwie pokrył dno czary; potem zerwał i wycisnął jeszcze dziesięć innych, a czara była ciągle jeszcze niepełna.

„Cóż to się znaczy? — spytał król. — Wprzód wy-starczył jeden granat, aby napełnić czarę, a teraz wycisnąłeś już dziesięć owoców, a czara jeszcze niepełna?“

„Stary ogrodnik potrząsł głową i rzekł: „Widzisz, przyjacielu, ja ci powiem, co to znaczy. Niezawodnie powziął w tej chwili Jego Mość wielki król, który panuje w naszym kraju, zamiar nałożenia podatku na te granaty; a w takim razie wysychają one i nie można z nich nic wycisnąć.“

„Król Humayum rzekł sam do siebie: Gdyśmy postanowili opodatkować te owoce, wysechł ich sok; gdybyśmy więc przeciwnie postanowili, coby się stało wtedy? — I wnet pomyślał wielki monarcha w duchu: Nie trzeba nakładać podatku na te granaty. — A potem prosił ogrodnika, ażeby przyniósł świeży owoc i spróbował raz jeszcze wycisnąć go.

„Starzec uczynił zadość jego żądaniu, i gdy zaczął wyciskać zerwany owoc, napełnił on nie tylko czarę aż po brzegi, ale wydał nad to jeszcze znaczną ilość soku z siebie.

„Wtedy ucieszył się stary ogrodnik, i śmiejąc się z radości rzekł: „Widzisz przyjacielu, ja ci powiem, co to znaczy. Niezawodnie powziął w tej chwili Jego Mość, wielki król, który panuje w naszym kraju, zamiar nienakładania żadnego podatku na te drzewa. A utrzymuje się u nas dawne podanie, przechodzące z pokolenia na pokolenie, że jeżeli monarcha nakłada taxy na drzewa owocowe, które dawniej ich nie opłacały, psują się zaraz drzewa, a owoce tracą swoją woń i słodycz i niszczejną powoli. Tak się dzieje i z innymi rzeczami, a nawet i z ludźmi opodatkowanymi, jeżeli podatek przechodzi zwyczajną miarę. Drzewa w takim razie zaczynają usychać, uprawa ich bywa zaniedbywana, a ogrody i plantacje zamieniają się w pustynię. Kto za wiele żąda, otrzymuje mało, a kto na małym poprzestaje, zyskuje wiele.“

„Król pytał się potem o przyczynę tego, a ogrodnik dał mu następujące wyjaśnienie: „Jeżeli suma opłacanych podatków jest zanadto wygórowana, przestają właściciele ogrodów pól i plantacyj pracować, i wszystko idzie w niwecz, a tem samem pokaże się uszczerbek i w dochodach podatkowych. Jeżeli przeciwnie podatek jest niski, pracują ludzie gorliwie nad uprawą pól i ogrodów, i starają się utrzymać je w dobrym stanie. Widząc, że sami mają przytem zysk i korzyść, pracują chętnie i zachęcają się wzajemnie do pracy. Tacy, którzy dawniej zwykli byli sadzić tylko dwa lub trzy drzewa, posadzą wtedy dziesięć, i suma podatkowa będzie przeto wzrastać coraz więcej.“

„Król Humayum uznał słuszność tych uwag. Tymczasem nadjechała jego świta i szlachta, która go szukała, a gdy ustawili się przed altaną, poznał ogrodnik, że rozmawiał przez cały czas z samym królem, i okropnie się przestraszył; serce drżało mu w piersiach, a twarz okryła się śmiertelną bladością. Król jednak rozkazał swoim ministrom, by wydali starcowi papiery indemnizacyjne za jego ogród, a jego samego mianował zarządcą całego obwodu z nieograniczonym pełnomocnictwem. Powróciwszy zaś do swojej stolicy, wydał król Humayum następujące rozporządzenie swoim urzędnikom: „Przedmioty, które dawniej nie opłacały żadnego podatku, nie mają być pociągane do opłaty, a wszelkie opłaty w urzędach słowych i



na targowicach mają być zredukowane na niższą stopę niż dawniej. Wszyscy urzędnicy administracji mają się zastosować do tych rozporządzeń.“

Od tego czasu zwiększały się co roku dochody podatkowe, i lud żył szczęśliwie pod mądrymi rządami wielkiego księcia.

(Dwa miesiące pod śniegiem). Chcąc dostać się z Chili do Rzeczypospolitej Argentyńskiej, potrzeba przedziierać się przez skalisty grzbiet Andów, który tylko w dwóch miejscach może być przebyty. Jeden z tych przesmyków tworzy dolina Aconcagua, i ta droga bywa najczęściej używaną. Drugi, znajdujący się pod Tome, jest wprawdzie krótszy, ale za to o wiele stromszy i trudniejszy do przebycia. Obadwa te przesmyki są przez pół roku zamknięte nieustanną prawie zamiecią śnieżną.

„W roku 1869 — opowiada pewien Francuz — na krótki czas przed rozpoczęciem się pory słotnej, zmusił mnie bardzo nagłący interes — sprawa, w której chodziło o życie — przedsięwziąć tę niebezpieczną podróż przez góry. Komunikacja była już prawie całkiem ustała; jednakowoż znalazł się pewien śmiały handlarz bydła, który odważył się odbyć jeszcze raz tę podróż, a ja korzystając z tej sposobności, towarzyszyłem mu uradowany. Przez pierwsze dwa lub trzy dni odbywała się nasza podróż bardzo przyjemnie, gdyż sprzyjała nam najpiękniejsza pogoda. Zbliżaliśmy się ku wierzchołkowi; jeszcze dzień drogi, a najgorsza część przeprawy byłaby już przebyta. Swobodnie więc wspinaliśmy się do góry i przybyliśmy do sławnej „Jaskini wędrowców“, która zaskoczonemu nocą podróżnemu nastęrcza pożądane schronienie. Zamknięta ze wszech stron ciągnie się ona na 200 stóp w głąb góry, i jest prawie 100 stóp szeroka, a ma wreszcie tylko jeden wchód, zasłonięty do połowy krzakami głogu i kaktusów. Chociaż mogliśmy iść jeszcze z godzinę przed zapadnięciem zmroku, uważał przecież Cifuentes — tak się zwał ów handlarz — za rzecz stósowniejszą, przepędzić noc w tej jaskini, a stracony przez to czas wynagrodzić nazajutrz wcześniejszym wyruszeniem.

W towarzystwie naszym znajdował się stary góral, który przeżył już siedmdziesiąt lat w tej pustyni, i jak wszyscy ludzie tego rodzaju, był doskonałym meteorologiem. Ten wysłany dla nazbierania chrustu, powrócił wkrótce i opowiadał ze złowrogą miną, że widział stado dzikich gęsi, lecące na południe, a na północnym widnokręgu chmury śnieżne. Cifuentes nie przestraszył się wcale tą wiadomością, przewidywał on tylko lekką zamieć; ażeby jednak zabezpieczyć się na wszelki wypadek, zaczęliśmy wszyscy zbierać zasób paliwa i znosić do jaskini. Ja nie lękałem się wcale burzy śnieżnej, ale to, co się przedstawiło mym oczom nazajutrz, obudziło we mnie inne uczucie: wchód do naszej jaskini był zupełnie zatarasowany. Z największą trudnością przebiliśmy otwór, ażeby zobaczyć, co się dokoła nas dzieje. Powietrze było napełnione płatami śniegu, a gwałtowne wiatry zrzucały ogromne lawiny ze skał do wąwozu, gdzie takowe układając się warstwami jedna na drugiej, groziły zasypaniem całego wąwozu aż po wierzchowiny gór. Mimo to nie traciliśmy jeszcze odwagi. Mieliśmy dobre schronienie i dostateczny zapas żywności, a

gdyby tych zabrakło, mogła trzoda bydła na długo nam wystarczyć; tylko stary góral, Jose, potrząsał głową:

— „Ta burza potrwa najmniej siedm dni“ — mówił — „a chociażby i prędej ustała, nie możemy iść dalej. Boże zmiłuj się nad nami!“

Było nas ośmiu, i pracowaliśmy na przemian, by utrzymać otwartem wejście do naszej jaskini; była to robota mozolna i nudna, bo zaledwie zrobiliśmy otwór, przypuszczający światło dzienne, zasypywała go zaraz nowa zamieć śnieżna; wszelako udało się wytrwałym usiłowaniom naszym utrzymać nieprzerwany przeciąg powietrza. Tak przeszło pięć dni długich jak wieczność, i pasza dla bydła już się wyczerpywała. Cifuentes widział, że trzoda jego, a przynajmniej znaczna jej część będzie musiała paść ofiarą.

Ludzie jego otrzymali potrzebne rozkazy, i połowa bydła została wybitą. Ich cielska dostarczały nam i mięsa i ciepła, a chociaż to improwizowane paliwo nie bardzo było pachnące, ogrzewało ono przecież bardzo przyjemnie napół skostniałe nasze członki. Wreszcie ustała burza, i odważyliśmy się wyjść z jaskini, ażeby się rozpatrzyć, czy jest możliwość puszczania się w dalszą drogę. Ale nie znaleźliśmy najmniejszego nawet śladu naszej ścieżki, a głęboki na kilkaset stóp wąwóz tak był zasypany, że masa śniegu równała się prawie z naszym schronieniem. Było przerażający widok! Jedyną pociechą naszą była nadzieja, że mogą spaść deszcze, a potem mróz utworzy tak silną powłokę na powierzchni śniegu, że moglibyśmy puścić się bez obawy w dalszą podróż. Tej zmiany oczekiwaliśmy 48 dni, ogrzewając się tylko budzącym odrazę ogniem z mięsiva i kości; aż wreszcie nastąpiła tak gorąco upragniona burza deszczowa, i poczyniliśmy wszelkie przygotowania, by pożegnać naszą jaskinię. O świcie puściliśmy się w drogę. Powłoka lodowa zaledwie zdołała nas utrzymać; prawie co krok zapadał się któryś z nas, i potrzeba było niemało czasu na to, by go wydobyć. W taki sposób przebyliśmy pierwszego dnia zaledwie dziesięć mil angielskich; ale Jose dodawał nam odwagi, obiecując, że za 24 godzin dostaniemy się prawdopodobnie do chaty strażnika, gdzie będziemy mogli pokrzepić się i wypocząć. Wyszukano tedy miejsce na nocleg, i zaczęto je przyrządzać. Ażeby mieć należyte schronienie, potrzeba było wybrać śnieg dość głęboko i szeroko. Cifuentes i jego ludzie zabrali się przeto do kopania, a ja zajmowałem się urządzaniem tamy nad naszym dołem. Już cały dół był prawie wykopany, gdy naraz Cifuentes zapadłszy się znikł z oczu, a ludzie jego tuż za nim wpadli w przepaść. Musiałem cofnąć się od krawędzi dołu, by nie podzielić ich losu, bo mała lejkowata dziura, w której zniknęli, rozszerzała się z niesłychaną szybkością. Odwróciłem się i biegłem, drżąc za każdym krokiem, by nie zlecieć w przepaść. Wreszcie stanąwszy, obejrzałem się i słuchałem, ale żaden znak życia nie doleciał mych uszu. Ponieważ sam nie mogłem nic robić, przyszła mi na myśl chata strażnika; a chociaż byłem zmęczony podróżą, postanowiłem odszukać ją, i jeżeli to być może, przynieść pomoc moim towarzyszom podróży. Jak dostałem się do chaty, i czy dokładnie opowiedziałem, co się stało, nie mogę sobie przypomąć. Przez sześć tygodni bowiem przeleżałem w łóżku chorując na zapalenie mózgu; ale gdym powoli zaczynał już



przychodzić do zdrowia, opowiedział mi mój gościnny gospodarz, że zupełnie wycieńczony przybył do niego i znakami dał mu do zrozumienia, co się stało. Udał on się zaraz z swymi trzema synami na miejsce wypadku, i udało im się dostać do trupów. Jak się pokazało, obrabialiśmy na nocleg miejsce, znajdujące się nad wązką przepaścią, i gdy uprzętniono śnieg, zapadł on się w końcu, a moi towarzysze spadli na dół i pogruchotali sobie czaszki na skalistych odłamach. Mnie samego tylko ocaliła łaska Opatrzności.

(Charakterystyka Szacha perskiego). Juliusz Stettenheim, dowcipny redaktor humorystycznego dziennika „Berliner Wespen“, podaje w jednym z ostatnich numerów swoich następujący portret Szacha perskiego, ułożony z wiarogodnych notatek dzienników berlińskich:

Nassr-Ed-Din ma ponurą i miłą, zużytą i bardzo młodocianą jeszcze twarz, na której odznacza się bardzo foremny mocno, zakrzywiony nosek. Oczy jego są mde i ogniste. Lubi on jadać sam, i nie może wysiedzieć przy stole bez licznego towarzystwa. Obyczaje jego są zupełnie europejskie, w ciągu przedstawienia „Aladdina“ zażądał on swojej nargilli, a w salonie małżonki księcia Karola rzucał łupiny i szypułki podawanych sobie owoców na posadzkę. Mówi on bardzo wiele i milczy nieraz po całych godzinach. Łagodny w najwyższym stopniu, zachwycał się rykiem dzikich zwierząt w ogrodzie zoologicznym, i cieszył się z wrodzonym okrucieństwem buketami, które mu tam podawano. Nie lubi on nie prócz obfitego stołu i baletów, i przybył do Europy dla tego tylko, ażeby dla dobra swego ludu zapoznać się z postępami cywilizacji. Tak między innymi bawił przez dłuższy czas na scenie teatru opery, i powiedział małej śpiewaczce David czarujący komplement, jak też wogóle jest on dla dam bardzo grzecznym, surowym, delikatnym i dzikim, i nie odmawia im nic — prócz głowy, jeśli są uparte. Pija on wyłącznie maderę i szampan, i gasi pragnienie tylko czystą wodą. Jest on wielkim obserwatorem, patrzy bezmyślnie w świat i nosi złote okulary ze stali. Szczególnie lubi radośne uniesienie ludu, i gdy przejeżdżał wśród otaczających go tłumów widzów, przyjmował ich okrzyki obojętnie a nawet z niechęcią. Jest on otyły, chudy, szlachetnej, nader pospolitej powierzchowności, wysoki, bardzo mały, i nosi czarny, rażąco pstry, czerwony, całkiem żółty uniform bez wszelkiej ozdoby, a szczególnie odbijają na nim niezliczone brylanty. Ma całkiem łysą czaszkę, i zawsze okrywa spiczasta czapka sukienka jego bujny, kędzierzawy włos. Liczy on 42 lat, urodził się w r. 1843, i zasiada już ćwierć wieku na perskim tronie, którego ozdobą stał się w ciągu krótkiego swego panowania, i na którym niepodobna mu było zjednać sobie miłość swego ludu.

(Chińskie sądownictwo). „Shanghai Courier“ opowiada w jednym z ostatnich numerów swoich, jak w państwie niebieskiem nagradzaną bywa miłość dziecięca. Przed kilku miesiącami znaleziono w Jamei wysokiego urzędnika zamordowanym, a ponieważ niepodobna było odkryć żadnego śladu mordercy, pozostał ten wypadek nierozwiązaną zagadką. Sąd przedsięwziął poszukiwania, wyznaczano nagrody, ale wszystko na próżno; i prawie zapomniano już o tej zbrodni, gdy pe-

wnego dnia całkiem niespodziewanie zbrodniarz sam zgłosił się do sądu i opowiedział następującą osobliwszą historią: Przed 12 laty został ojciec jego podczas powstania Taupingów stracony w skutek fałszywego świadectwa, które złożył zamordowany urzędnik. Od tego czasu żywił morderca śmiertelną nienawiść ku niemu, i byłby się niezwłocznie zemścił, gdyby nie był jedynakiem, gdyż w razie uznania go winnym morderstwa, byłaby matka jego popadła w niełaskę i utraciła prawo do przyzwoitego pogrzebu. Dalej udowodnił on, że miewał kilkakrotnie sposobność, sprzątnąć swego nieprzyjaciela ze świata, ale zawsze wstrzymywała go od tego cześć dla matki. — Sędzia uznał sierotę wzorowem dzieckiem i uwolnił go natychmiast, a słuchacze przyjęli ten wyrok z radośnem uniesieniem i wynieśli zbrodniarza w tryumfie ze sali sądowej.

(Skarbiec Sultana tureckiego). Na wystawie wiedeńskiej można oglądać w osobnym pawilonie żelaznym bardzo ciekawe i kosztowne zabytki ze skarbcza sultańskiego, których ogólną wartość podają na 25 milionów złotych reńskich. Są to klejnoty, mające wartość nie tylko historyczną, ale i artystyczną, a zbiór ich jest tak znaczny, że go przewożono w 20 pakach pod dozorem samego skarbnika sultańskiego Ibrahima Beja. Najciekawsze przedmioty tego zbioru są: Przepyszna zbroja Sultana Selima I., ozdobiona najkosztowniejszymi dyamentami; zabrane przy zdobyciu Bagdadu tron Szacha Nadira, ważący 240 funtów czystego złota i wysadzany perłami wielkości orzechów laskowych; dalej dyamentowe agrafy od turbanów dwudziestu Sultanów, ich paradna broń, rynsztunek, siodła i t. d.; a nakoniec nie mniej godne są widzenia rozmaite nargile, cybuchy, strzelby i sajdaki ogromnej wartości, tudzież złoty serwis z Seraju z czasów Osmana IIgo, i przepyszne, w darze z Chin otrzymane wyroby z porcelany i kryształu.

(Moskiewska filantropia). Zeszłego miesiąca toczyła się w Petersburgu przed sądem przysięgłych sprawa Szirgeja Trubeckoj, oskarżonego o pospolitą kradzież. Jak się pokazało, skradł on w grudniu r. z. w hotelu „Klee“, w pokoju poddanego portugalskiego, Oppenheimu, portmonetkę z 19 rublami, i abonament na krzesło parterowe w wielkim teatrze, który odprzedał jakiemuś Lechowskiemu. Ojciec jego, były moskiewski konsul, żyje obecnie w Marsylii; oddał on go w Petersburgu do gwardyi, którą tenże po kilku tygodniach opuścił. Trubeckoj przyznał się, a pomimo to sędziowie przysięgli uznali go niewinnym, ponieważ dopuścił się zło-dziejstwa z rozpachy, nie mając ani grosza przy duszy! Otóż to filantropia, na jaką nie zdobyliby się nawet Kwakrowie!

(Do charakterystyki stosunków meksykańskich). Dwóch jegomości, z najwyższych warstw społeczeństwa, spotyka się wieczorem na ulicy Meksyku. — „Która godzina, Sennor?“ — pyta jeden z nich. Drugi zatrzymuje się spokojnie, wyciąga rewolwer i zwraca ku pytającemu. Potem wyjmuje zegarek i odpowiada na zapytanie. Pierwszy dziękuje bardzo grzecznie, nie gorsząc się wcale użyciem takiego środka ostrożności. Miłe stosunek, zaprawdę!



## Nowe książki.

Kosa i Kamień. Przysłowie dramatyczne przez J. I. Kraszewskiego; Poznań, nakładem J. K. Żupańskiego. 1873.

Małeńkie to cacko, należy do kategorii utworów znanych pod nazwiskiem „proverbes“, których ojcostwo należy się Francuzom, a przedewszystkiem mistrzowi w tym rodzaju Alfredowi de Musset. W dramaturgii zajmuje ono to stanowisko prawie, co w powieściopisarstwie nowella, do której podobne są i subtelnością motywu i niezbędnymi wdziękami stylu: przymiotami formy stanowiącemi główną część ich wartości. Dyalog tu wielką ruchliwość i charakterystyczność mieć musi, musi markować sytuacje i z wielką zręcznością, gładko, bez gwałtownych przeskoków, sprowadzać perypetye, wypowiadać krojem frazesu charaktery, których rozwinięciu przeszkadza brak istotnej akcji dramatycznej. Akcja tu bowiem jest, że tak powiem, wewnątrzna, zdradzająca swój pochód i odmieniająca go nieznacznie, jak w felietonie. Gwałtowne nawiązanie—białe nici, znać natychmiast. „Kosa i kamień“ może być wzorem podobnych utworów i z najpierwszemi śmiało się zmierzy. Jest to pojedynek dwojga ludzi, przeznaczonych sobie oddawna przez rodziców, i w skutek tego przenikniętych nawzajem najgorętszą chęcią uniknięcia tego związku. Pojedynek ten kończy się najszcześliwiej: połączeniem obu stron wojujących.

Kawa Literacka, w Warszawie (r. 1829--1830), przez Kaź. Wł. Wojcieckiego. Warszawa nakład Gebethnera i Wolffa.

Jest to nowy przyczynek do tak szczupłej u nas literatury anegdotycznej o życiu znakomitszych ludzi różnych epok. Jest to jak gdyby odzew na hasło wydane przez panią Wilkońską w niedawno wydanych u Żupańskiego „Wspomnieniach.“ Prace takie są bardzo cenne, jeżeli im przewodniczy dar obserwacyjny opowiadacza, szczerosc i odwaga. Praca pani Wilkońskiej zbyt jest panegiryczna w ogólności, opowiadanie pana Wójcickiego za nadto pobieżne. Nie żądamy, ażeby w tak drobnym zakresie, jak tej książeczki, autor narysował pełne i szerokie tło danej epoki i przez nie przesunął postacie swoich wspomnień, ale chcielibyśmy, ażeby się był dłużej, chociaż nad znaczniejszemi zatrzymał. Co na ilości stracilibyśmy, na ważności byśmy zyskali. Tymczasem natłok figur w tem wspomnieniu sprawia, że mijają one, jak w kalejdoskopie, ledwo okiem pochwyczone, ważniejsze zasłonięte przez mniej ważne, lub też przez osobę autora. W każdym razie, wywołanie przed nas cieniów wielu zasłużonych ludzi owego czasu i młodości niektórzy żyjących jeszcze mistrzów, jak Goszczyńskiego i Zaleskiego itd., miłą i pożądaną tę książkę nam czyni.

Powieści Wschodu i Zachodu, przez Wojciecha hr. Dzieduszyckiego. (Odbitka z kraju) Kraków 1873.

Praca ta zasługiwałaby na szerszą ocenę, aniżeli na to miejsce tutaj pozwala. Nie tylko bowiem przymioty jej i wady, ale oryginalność ich także kuszącą jest wielce dla krytyka, oryginalność ta, którą i w innych utworach tego młodego

pisarza spostrzegliśmy, jest tak niekiedy mocno akcentowaną, że przechodzi w dziwactwo prawie. W każdym razie jednak budzi ona sympatyę. Jest coś pociągającego dla umysłu swobodniejszego i wyższego w tym orlim zamachu na ogromny pomysł, w tej młodzieńczej zuchwałości w traktowaniu epok i ludzi wielkich, które odnajdujemy w tej książce i jej autorze.

Oryginalność ta imponuje nawet z początku czytelnikowi do tego stopnia, że istotnie wierzy się, iż autor wynalazł nowe stanowisko historyzoficzne, z którego na dzieje ludzkości się zapatruje. Złudzenie to jednakże trwa niedługo. Spostrzega się wnet bowiem, że oryginalność ta nie w poglądzie, nie w treści ale w formie rzeczywiście istnieje. Puchliwość i malowniczość tego stylu, rysunek i akcesoriów archeologicznych i tła: to co pospolicie kolorytem nazywają—to osobliwe piętno powieściom(?) tym nadaje. Pojęcia zaś polityczne i społeczne autora grają wszystkimi kolorami tęczy. Entuzjazmuje on się świętem „Najwyższej Istoty“ i natchnionym wykrzyknikiem klermonckiego mowcy „Bóg tak chce“; majestatem dzikim średniowiecznego gwałtu i szlachetnym hymnem rewolucyi. Spostrzega się wreszcie, że w miejsce historyka i filozofa, stoi przed nami artysta. Z tego tylko stanowiska książkę tę sądzić można. I artysta nielada! Wybór przedmiotów, intuicya języka i ducha ludzi i czasów, umiejętne użycie kontrastów, żywość wyobraźni, wsparta i ułatwiona przez olbrzymi zasób erudycyi, oto przymioty pojedynczo lub gromadnie popisujące się w tych próbkach. Otóż wreszcie trafiliśmy na słowo.

Powieści te nie są powieściami w przyjętem znaczeniu tego wyrazu. Tym braknie akcji, tamtym węzła i intrygi, tym rozwiązania. Są to próbki artyzmu autora i jego zasobów. Wszystkie kolory bogatej jego palety, jak pawie ogony na słońcu roztocone; nie strojne to i wykończone szaty, ale tylko próbki najjaskrawszych materyi, z których autor kiedyś, skoro organiczny plan ułoży—areydzieło uszyć może: oczem swoją książką zapewnia czytelników. Zapewnia i przekonywa. Oprócz tej wystawy jednakże i tej uzasadnionej obietnicy nic innego w tej książce szukać nie należy i zdaje nam się, znaleźć nie można. Idei zasadniczej, nici wiążącej te fragmenta nikt nie dopatrzy i dalibóg, nie wielka to szkoda: ani Wiktorowi Hugo w „Legende des Siecles“ ani Balzakowi w „Comedie humaine“ wysmarzonej idei przeprowadzić się nie udało, a jednak artyzm pojedynczych fragmentów tylko zyskał na tem. Nie artyście historyzofem lub metafizykiem być: sztuka zanadto swobodna i plastyczna na to.

Panteon Wiedzy ludzkiej, przez Bronisława Trentowskiego. Tom I. Poznań, nakładem księgarni J. K. Żupańskiego 1873.

Pod tym tytułem wyszło pośmiertne dzieło naszego filozofa, braterskiem staraniem dr. Libelta ułożone i przygotowane do druku. Olbrzymiej tej pracy poświęcił Trentowski kilkanaście lat życia, nieraz bardzo ciężkiego życia, w oddaleniu od kraju, pozbawionego materialnych potrzeb częstokroć. A prze-



cież w gorącym poczuciu miłości dla narodu, i w żądzy wypowiedzenia tych myśli i zasad, których „arką” Polska mu być się zdawała, podjął i zmógł ten trud niezmierny Trentowski, jak sam oświadcza w „Przedśłowiu.”

Z jednego tomu sądzić o znaczeniu i ważności dzieła tego niepodobna.

Wedle postawionego jednak już w tym I. tomie planu, ma ono zawierać w sobie krytykę dotychczasowych stanowisk wiedzy i filozofii, a priori i a posteriori, oraz uzasadnienie i rozpatrzenie z nowego syntetycznego stanowiska, a totali, wszystkich nauk i umiejętności i zbudowanie na fundamencie tego nowego stanowiska — nowego systemu filozofii.

Zanim całość dzieła: tj. 2 i 3 jego księga pozwolą się rozpatrzyć w tym olbrzymim gmachu, którego fundamenta w pierwszym tomie położone, nateraz niech nam wolno będzie polecić tę piękną pracę, chociaż ze względu na cudowny urok języka i skarby myśli głębokich, hojnie w niej rozrzucone. Zadziwiająco popularna forma wykładu, jedną więcej zachętą publiczności być powinna. Książka ta ma nawet cel najistotniej użyteczny: Oto co sam autor powiada:

„Wynikną jeszcze inne z dzieła tego korzyści. Ojciec niektóry np. wzięwszy do domu młodego teologa, prawnika lub filologa na nauczyciela, czy nie powinien wiedzieć, choć ryczałtowo i krótko, co właśnie umie ten człowiek? Inaczej nie będzie mógł wyobrazić sobie, czego odeń spodziewać lub obawiać się ma w ochmistrzowskim stosunku do poruczonych mu dzieci. Młodzieniec ukończywszy szkoły, a mający udać się do umiętjni, niech zrobi ten całokształt, nauk pilnej pracy swojej przedmiotem, rozważy każdej z nich znaczenie, a rozstrzygnie się ku takiej, co odpowiada iście wewnętrznemu jego powołaniu! Niejeden poświęcił się czemu innemu niżby był powinien, li dlatego, że nie znając nauk wszystkich wogólnym zarysie, nie umiał stanowczemu postanowieniu swemu nadać odpowiedniego kierunku i obierał omackiem. Młodzieniec także co był już na umiętności, niech czyta te księgi! Tam zapoznał się z jednym nauką wydziałem. Tu przejrzy wydziały inne i oceni ich ważność, uporządkuje ostatecznie swą głowę i w miarę zdolności własnej pozyska większą wszechstronność.”

Książka Sonetów. J. S. Chamiec, Paryż 26. Sierpnia 1873 z drukarni D. Jouaust.

Tytułowi odpowiada najściślej książka. Jest to zbiór kilkuset Sonetów podzielony na trzy części: „Patria, Amor i Varia. Samo już nazwisko każdego z tych działów treść jego wskazuje. I w samej rzeczy, pierwsza część poświęcona jest myślom i poglądom dotyczącym się spraw ojczystych: przeszłości Polski, jej walkom, ludziom, stronnictwom, błędom i przymiotom; część drugą stanowi szereg sonetów, będących niby strofkami wieczystego poematu miłości, jak zwykle pełnych sprzecznych a przecież usprawiedliwionych wrażeń: błogosławiających i przeklinających, z szyderstwem obok ekstazy,

z bachanckim krzykiem, obok idealnego westchnienia. Trzecia część i ostatnia są to rymy przygodne: pełne filozoficznych i moralnych poglądów na życie.

Wszystkie te jednakże uczucia, zawarte w tej książce, ani sercem poety pojęte, ani z natchnieniem poety odtworzone. Miłość ojczyzny, miłość kobiety i filozofia i moralność są terre à terre, trzeźwo i praktycznie nader uczute i wypowiedziane. Wszędzie sentymanta strzyżone, jak w parku francuzkim drzewa; pilnujące ubitej koleiny i kłaniające się porządkowi publicznemu i hasłom chwili. To stanowisko porządnego i dobrze myślącego człowieka, nakazuje autorowi z wysokości dziesięciu lat ubiegłych sądzić srogo i potępiać sromotnie ostatnie powstanie nasze, deptać po grobach ludzi dobrej wiary; których największą winą jest to: że im się nieudało; i przepłatać filipiki swoje uparcie powracającą zwrotką wiekopomnej pamięci cesarza Aleksandra: „precz z marzeniami! Do pracy!... Dobrze więc, ale do pracy, jako środka nie jako do celu! A u tych panów za środkiem celu nie widać nie wolno weni wlepieć oczu. Niebezpiecznie. Precz z marzeniami!

Toż samo stanowisko sprawia, że miłość w tych sonetach jest pospolita i w najwyższych swoich wybrykach erotycznych dochodząca za ledwie do jowialnego figlika, jakie się zdarzają żywym starszkom po dobrym objedzie, lub dla wywołania rumieńców panny młodej, na uczcie ślubnej. Moralność i filozofia ograniczają się do praktycznych recept, z doświadczenia lub zawodu wyczerpniętych, na to biedne życie między kolebką a grobem. Okienka „na błękit i Boga” nie ma. Książka wybornie czyta się bez okularów: i druk i papier wykwitne. Spać po niej można spokojnie i sny mieć łagodne. Mój Boże, mój Boże, cóż to się stało z autorem, Rejtana i Zborowskiego!..

Intermez z o. Przekłady z księgi pieśni Hejnego przez Aleksandra Kraushara Warszawa, Michał Glücksberg 1873.

Literatura nasza nie obfituje w przekłady Hejnego. Z niewielkiej ilości rozrzuconych po czasopismach mało większej wartości; ze zbiorów, ten jest pierwszy. W przekładach tych tłumacz zbliżył się do swojego oryginału o ile tylko pozwala na to natura i forma naszego języka. Ducha często bardzo pojął i odtworzył wybornie; formę wszędzie prawie. Niektóre jednak z tych brylancików wymknęły się zdolnej i pracowitej ręce tłumacza. Nie ma tu miejsca na przytoczenie ich: dość będzie powiedzieć że są to te, w których koloryt i wrażenie polega nie tylko na treści, ale na doborze wyrazów w niemieckim: powiedzmy ściśle, na ich dźwięku. Czytając te wiersze głośno, po niemiecku, odbiera się z ich samogłosek i spółgłosek wrażenie, które uczuł i potwierdzi każdy, kto czytał się w Hejnego, ale którego określić jasno niepodobna. Jest to muzyka słów, akompaniament i dospiewka. Z tym jednak drobnymi błędem nawet, książkę tę gorąco polecić można zwolennikom niemieckiego poety.

W. O.